



PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 zlr., półrocznie 6 zlr., kwartalnie 3 zlr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 zlr., półrocznie 7 zlr., kwartalnie 3 zlr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni **F. H. RICHTERA** we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej 1. 52

Dla **W. Ks. POZNAŃSKIEGO** główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 sgr. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŻNE UWAGI.

VIII.

OGŁADZIE LITERACKIEJ.

Stopień oglądy każdego narodu poznać można dość dokładnie z tonu, jaki panuje w jego literaturze tam, gdzie ona porusza kwestje sporne lub wyrokuje o czemkolwiek z trójnoga krytycznego. U narodów cywilizujących się dopiero, ton ów bywa napuszonym, każdy drobiazg przybiera w nim rozmiary przesadne, czuć co chwila zbytek pobłażliwości lub też brak jej zupełny, a przy łada sposobności wybucha walka zacięta, w której nikt nie przebiera w wyrażeniach i w zwrotach mowy, nikt nie kontentuje się dosadnością wewnętrzną argumentów, jakie przytacza, ale owszem każdy stara się wygłosić je w formie jak najobrazliwszej, jak najmniej wyszukanej. Im starszem staje się życie umysłowe narodu, tem bardziej łagodnieje forma polemiki i krytyki; miejsce łajania zastępuje coraz delikatniejszy sarkazm, miejsce maczugi krytycznej, wskazówka wytykająca usterki. Porównajmy np. ton prasy niemieckiej z tem, jak się prowadzi dyskusja we Francji lub w Anglii, a różnica ta wystąpi nader wybitnie. Winno temu może poniekąd i wrodzone Niemcom grubiaństwo, ale większa część winy spada na młody stosunkowo wiek nowoczesnej literatury niemieckiej. Anglicy i Francuzi prawią sobie nieraz rzeczy, które ani trochę nie są komplementami, ale nie wpadają nigdy w prostactwo, nie używają zwrotów karczemnych — czego o Niemcach powiedzieć nie można.

Gdyby na szczęście Polska nie była większą od Galicji, z tonu prasy i krytyki w naszej dzielnicy możnaby nieraz wysnuć jak najniekorzystniejsze wnioski nie już o stopniu wykształcenia, ale o stopniu poloru i oglądy towarzyskiej naszego ogółu. Nie mamy bynajmniej zamiaru powtarzać tu narzekania na spory dziennikarskie i literackie, wszędzie niemiuniknione i częstokroć nawet pożyteczne. Mówimy wyłącznie o formie, przeciw której grzeszą nie tylko publicyści traktujący sprawy polityczne itp. ale i tacy ucznio-

wie Apollina, których zadaniem byłoby dbać więcej o ogładę stylu. Prym wiodą w tej mierze teologowie, tuż za nimi postępują filologowie i gramatykarze, dalej krytycy, a nakoniec i poeci, gdy im wypadnie odciąć się, najchętniej używają krzyżowej sztuki. Możnaby zebrać niepoślednią antologję okazów rąbaniny polemicznej, któraby uzasadniła tę naszą klasyfikację, uwalniamy się atoli od tej nieprzyjemności, bo zamiast uwag ogólnikowych, to co piszemy skierowaćby się musiało przeciw niektórym z panów — a nawet i pań piszących. Czy to wpływ szkół niemieckich i kapraleskiej rubasznosci teutońskiego ducha wywiera taki skutek — nie wiemy; na wszelki wypadek Warszawa, która mniej zajmuje się Niemcami a więcej dalszym Zachodem, niezmiernie w tej mierze różni się od Galicji i Poznańskiego i pobija nas na tem polu jak na każdym innym. I to pewną jest rzeczą, że z literatur zagranicznych jedyną w Galicji więcej znaną jest niemiecka, że utwory literackie innych narodów spożywane tu bywają jedynie prawie w tłumaczeniach niemieckich, według wyboru i gustu niemieckiego, i że niejedyn z piszących nie zadał sobie nawet pracy nauczania się języków, których znajomość uwalniałaby go od tego uciążliwego pośrednictwa najbliższych naszych sąsiadów zachodnich.

W nowszych czasach, odzywa się często wołanie, iż potrzeba nam co rychlej obznajomić się z ludami słowiańskimi, z ich piśmiennictwem, z ich duchem. *Et haec facienda* — przedewszystkiem atoli pożądanem by było, gdyby wychowanie publiczne i pilność prywatna skierowane były ku poznaniu ducha i piśmiennictwa tych narodów, które wytworzyły oświatę nowoczesną i na wskrós nią się przejęły, podczas gdy pobratymcy nasi Słowianie po największej części i w najlepszym razie, przyswoili sobie tę oświatę, ale do wzrostu jej i rozwoju niezbyt się przyczynili. Może takie wszechstronnejsze wniknięcie w ducha cywilizacji, i oswojenie się z zewnętrznymi także jej objawami, ochroni piśmiennictwo w naszej dzielnicy od zdziczenia zupełnego pod wyłączną opieką Niemców.

SERCE I REKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Mój aniele drogi, dodała żwawo Klara, znałaś mnie dawniej, daję ci słowo, że choć ludzie sobie o mnie pleść mogą co chcą, nie jestem gorszą niż byłam, lepszą nawet może.... Zdaje mi się z tego wszystkiego co widzę, że się tu może opatrnościowo znalazła... że ty mnie i rady mojego starego doświadczenia bardzo możesz potrzebować.... Byliśmy kiedyś rówieśnikami to prawda, bardzo staro nie wyglądam — choć wiesz, jak się kocham — po cichu ci się przyznam, mam już zmarszczki!! — ale jestem teraz daleko, daleko starszą od ciebie. Miałam, wystaw sobie dwóch mężów — i na obudwóch się oszukałam.... To coś znaczy.... Dla tego trzeci raz za męża nie pójdę tak prędko — (w tej chwili pocałowała Olimpję) tylko się nie gorsz — póki ostatniego (bo to już musi być ostatni — *aux derniers les bons*) nie wypróbuję... gruntownie....

Olimpja popatrzała smutnie, nawet to jej rozśmieszyć nie potrafiło.

Hrabina mówiła dalej nieznużona, jak rozpędzony koń z góry, który leci coraz szybciej na złamanie karku....

— Mów, spowiadaj się, ulżyj sobie, wylej na łono przyjaźni (*vieux style*) troski i utrapienia swoje. Żart na stronę, niezawodnie wygadanie się ulgę ci przyniesie. Jest to w naszej naturze że my się wyplakać i wygadać musimy....

— Za wiele bym ci mówić musiała — szepnęła Olimpja.

— Ale nie — zobaczysz, ja ci się domysle wszystkiego z pół słówka, nawet bez słowa... wrzuciła hrabina. Mów tylko bo

mnie żał nad tobą i ciekawość spali.... Ja ci poradzę, tyś nie doświadczona... ja nawet twego Zygmunta doskonale znam, uczynił mi ten honor, jeszcze za życia mego męża, że się we mnie całe dwa tygodnie, nie mając co robić, kochał i sądził że mnie zachwycę.... A ja wówczas, sama byłam zakochana w kim innym, (a! nie w mężu, taki był nudziarz, świeć panie nad jego duszą...) Zygmunt mi służył za parawanik... czego mi pono nigdy nie daruje.... A ty?

Olimpia ruszyła ramionami z tak nieudaną obojętnością pogardliwą, że hrabina już z tego wielu się rzeczy domysleć mogła.

— Powiedz że mi naprzód, bo widzę że cię potrzeba wziąć na konfesję — jakże się stało żeś ty za niego wyszła?...

W głębokiem zadumaniu pogrążona Olimpia nierychło główkę podniosła.

— Moja Klaro kochana — rzekła — powiem ci wszystko, nie mam nikogo, jestem straszliwie sama, potrzebuję rady... lecz na krzyż pański zaklinam — to co ci powiem niechaj umrze z tobą....

— Na cienie mojej matki, którą wiesz jak kochałam — zawołała Klara — zaklinam ci się, zamknę to w sobie — mów — nie lękaj się.

Chwilę zatrzymała się Olimpia i milczała... podniosła oczy na nią....

— Z uśmiechem tu przyszedł, boś może sądziła że się tu spotkasz z jedną z tych prozaicznych historyj powszednich, które śmiechem zbyć można... wyjdiesz z tąd ze łzami. To nie komedia charakterów, to nie dramat, to moje życie, to tragedia Shakespeara.... Pamiętasz Klarcu, chwilę gdyśmy się żegnały — czy ty ją pamiętasz?

— Jak dzisiaj — przyjechałyśmy z matką i znalazłyśmy ciebie przy fortepianie, matkę z książką w ręku, a w dodatku pana nauczyciela muzyki, który odszedł grzecznie do kąta.

— Spojrzałaś ty na niego?

— Na niego? Ja przecie widywałam go często, to był ten Czech Bratanek, taki ładny chłopak, że mu się w ulicy Saksonki przypatrywały....

— Jam go kochała — on do szaleństwa mnie kochał... a matka moja — moja matka....

— Kochała się w nim, ale o tem całe Drezno wiedziało że się jej w głowie przewróciło — śmiano się z tego... dokończyła hrabina....

— Rozumiesz ty ten pierwszy akt domowej tragedji mego życia?

— Droga moja — zniżając głos rzekła hrabina — ileż ja potem podobnych spotykałam po wielkim świecie?? Tobie pocziwemu, niewinnemu dziecięciu wydawało się to poczwarnem... a w obrzydliwej rzeczywistości to — niestety — ledwie nie chleb powszedni....

Wzdrygnęła się. Olimpia mówiła dalej:

— Widziałas piękną, szlachetną twarz tego człowieka, aleś jego duszy nie znała. On jeden godzien był imię człowieka nosić, tak wielkie miał serce, tak bohaterska gorzała w nim dusza.... Musiałam go kochać... na pół dziecko jeszcze dojrzałam w tem uczuciu jak w ogniu, spaliłam się niem. On się opierał, bronił, uciekał. Narzuciłam mu

się, zdobyłam go szaleństwem.... Chciałam z nim być chwilę szczęśliwą, a potem umrzeć....

Hrabina rozplakała się i padła jej na szyję.

— O! ty moja anielska Olimpjo! tyś umiała kochać.

— Nie — droga Klaro — ja umiem jeszcze... ja go dziś tak kocham jak tego dnia, gdyśmy z nim uciekli razem w ubogiej chatce czeskiego wieśniaka stworzyli sobie raj. Dwie trumny wysłane kwiatami stały w jednej izdebce, myśmy się upajali sobą w drugiej... trucizna stała na stoliku otoczona kwiatkami.... My z nim spiewaliśmy pieśni, tworzyli kantyki i płakali i byli szczęśliwi, jak w raju!

Z ust hrabiny wyrwał się krzyk, zbłądła potem i głosu jej zabrakło....

— I ty się śmiesz skarżyć na życie! wykrzyknęła po chwili — ty — niewdzięczna! Bóg ci dał przeżyć taką rajska godzinę... której wspomnieniem wieki żyć można — a ty...

— Jam ją odpokutowała wiekiem — odezwała się Olimpia płacząc.... Odkładaliśmy śmierć, ostatni akt Romea i Julji od dnia do dnia. Żał nam było świata, który tak śliczny, młody, jasny... tak cudowny się nam wydawał, szczęście nasze kołysząc na swem łonie.... Zdawało się niemożnością, aby nas wysledzić miano..., gdy matka moja... której w pomoc przyszły wszystkie władze, napadła nas upojonych i... wyrwała mnie jemu.... Okuto biednego Bratanka, a mnie... ścięto! O tak, droga Klaro, ja tego inaczej nazwać nie mogę, — straciłam głowę — straciłam poczucie życia, żyłam upiorem za karę... Zawieziono mnie naprzód pod włoskie niebo... aby zmylić poszlaki, aby zatrzeć wspomnienie, aby mnie obmyć z tej plamy. O! to nie była plama! jam mu ślubowała na życie i śmierć — jam mu została wierną i będę nią do zgonu.

— Zmiłuj się — a pocóżes szła za mąż? zapytała Klara....

— Ojciec mój nie wiedział o niczem, on męczył się losem moim, ja kocham ojca... jam musiała....

— I — nie rozumiem! zawołała hrabina....

— Jakto? ty znasz Zygmunta tego i nie rozumiesz, śmiejąc się szydersko dokończyła Olimpia.... Ten człowiek chciał nie mnie ale majątku i imienia, gotów je był okupić jakakolwiek bądź ceną.... Matkę moją zjednał sobie udając w niej zakochanego... wybrała więc go za męża dla mnie. Rok czyhał, płaszczył się, pochlebiał, wsuwał w ten dom do którego wnosił swą podłość....

— Ale to twój mąż?

— Nie, to handlarz co mnie kupił.... Nie lękaj się — postawiłam warunki... nie mam sobie co do wyrzucenia. Gdy ojciec zmusił mnie łzami abym wyszła za niego, powiedziałam matce: — dobrze, lecz nie inaczej aż mu powiem wszystko i położę za warunek że tylko imieniem będą mu żoną, że zostanę wolną i że Bratanek pierścionez zamiast swojego zamieni ze mną przy ołtarzu....

— Olimpko! co ty mówisz! uderzając w dłoń krzyknęła hrabina — czyż to być może — i ten człowiek się zgodził?

— Przysłał na wszystko — gardzę nim... dodała wstając. Oto masz obraz położenia mego, naszych stosunków....

— Daj mi ochłonąć! biorąc się za głowę i cisnąc skronie — rzekła Klara — to coś znowu tak nadzwyczajnego że gdyby nie Olimpia mi to mówiła — nie uwierzyłabym nawet. Z ust twoich....

— Czytasz na czole prawdę tej męczarni... i nędzę mego położenia.

— Ale bo ty to nadto bierzesz tragicznie — odezwała się hrabina. Cóż u licha, ten piękny Bratanek może sobie gdzie umarł, tyś wolna, mąż jest tylko figurantem, który ci zawadzać nie będzie, powinnaś żyć! trzeba się z tego odrętwienia ocucić.... Zresztą kochaj sobie ten ideał, ja bynajmniej ci tego za złe mieć nie będę, ale życie jest życiem, moja droga... potrzebujesz dystrakcji.... Zmar nowaś dziesięć lat, jesteś zupełnie wolna, pan Zygmunt ci się nie będzie śmiał sprzeciwić.... Na Boga, jeśli nie chcesz z suchot umrzeć, trzeba się ratować... trzeba się bawić, roztrzepać.... Ci wszyscy mężczyźni, powiadam ci — ile ich jest, to funta kłaków nie warto!! jak oni z nami tak my powinneśmy z nimi.... Pozwól mi tylko wziąć siebie w opiekę a zobaczysz....

Olimpia patrzyła na nią....

— Ty moja droga, rzekła — masz temperament szczęśliwy....

— Bom go sobie rozumem wyrobiła — rozśmiała się Klara — gdy mnie pierwszy kochanek zdradził, miałam fiaszkę laudandum od bólu zębów — słyszałam że się tem ludzie trują.... Skosztowałam.. pfe! gorzkie! szkaradzeństwo... odeszła mnie desperacja i nazajutrz zbałamuciłam drugiego a męczyłam go tak że sobie włosy z głowy rwał i to była cała zemsta moja nad losem.... Od tej pory mężczyźni lubię jak raki, żeby ich jeść, potem usta popłukać, ręce umyć a skorupki na śmieciisko wyrzucić.... Nawet mi czasem smakują, ale ich nie biorę na serjo i nie rozczulam się nad nimi.... To całe twoje nieszczęście — paplała hrabina, że ty swojego Bratanka miałaś kilka dni i nie spowszedniał ci, i nie zdradził cię i nie ostygł i w twojej pamięci jak mucha w burstynie uwiązł ze złotymi skrzydłami....

To mówiąc porwała się i uściśnęła Olimpię.

— Serce moje — teraz musimy trochę pospiskować — rzekła żwawo — ja to bardzo lubię. Zygmunt nie powinien się domyslać wcale żeśmy się tak porozumiały... ja będę mu okazywać pozory szacunku jakiego dlań nie mam i politowania którego nie czuję. Uczynię mu nawet nadzieję że się może dasz jego pokorą przełamać i przypuścisz go do łask swoich — ale niech cię od tego pan Bóg broni!! Zresztą powiem ci poufnie że wcale nie ponętny... kochał się nie wiem w wielu, żył z Adela baletniczką, proza chodząca... mnie, gdy się zakochał... nawet na chwilę myśl nie przyszła ani fantazja... zabawić się romansem z nim, choć każdy romans, szczególnie z początku, jest bardzo zabawny.... Ale to ruina ten człowiek....

— Nawet nie ruina — oparła się Olimpia — są piękne ruiny, to stos gruzów i śmiecia....

— Widzę że go właściwie oceniasz, rozśmiała się Klara... a! tak! to dobrze... będziesz z niego miała doskonałego lokaja — choć trochę drogiego, a żenować się z nim po zawartej intercyzie nie potrzebujesz.... Jesteś jak ptak wolną....

— Ale swobody mojej nie mam najmniejszej ochoty używać.

— Ja cię nauczę... ja ci będę mentorem! o! zobaczysz wszystko się to odmienić musi.... Przecież ci się jeszcze coś od życia należy.

— Nic — prócz tego jednego, bym raz jeszcze mogła zobaczyć go i paść mu na szyję i powiedzieć: — patrz — oto twój pierścionek ślubny... byłam i jestem ci wierna, byłam i jestem twoją!...

— Przyznam ci się że zbyt wiele znowu wymagasz od losu... Każe ci za długo na to czekać, a tymczasem przecie żyć czemś trzeba. Będziemy chłopców bałamucić! zobaczysz jak ci to przyjdzie łatwo.... A powinnaś to uczynić choćby dla tego żeby się ten paskudnik co ci się gwałtem narzucił — wściekał ze złości....

Klasnęła w dłonie... Szafranka która była pewną że na nią znak dano, wbiegła do pokoju.

— Patrzajże — już dziesiąta! zawołała Klara — a! po drodze musisz iść spać — do zobaczenia jutro....

Uściskały się i hrabina wyszła szczęśliwa że tak się nudy jej dobrze skończyły.

* * *

Najajutrz zaledwie się hrabina Klara miała czas ogarnąć i ze swą Angielką zasiąść do herbaty — z masłem i miodem, wedle szwajcarskiego obyczaju — kelner przyniósł jej bilet proszącego o posłuchanie pana Zygmunta. Karta wizytowa wystylizowana była: Mr. le Baron Sigismond Wręby de Dobiński.

Klara z uśmiechem położyła ją przed sobą na stolyczku i odwróciła się do swej Angielki.

— Kochana Miss Draper... mam poufną rozmowę....

Towarzyszka zrozumiała od pół słowa i przestraszona prawie chciała uciekać do pokoju obok....

— Ale ja ci tam całą herbatę przyślę....

Kelner dostał rozkaz wprowadzenia barona, który wszedł jakby już z rannej powracał przechadzki — z twarzą odświeżoną i usiłującą okazać wesołość. Wiedział że hr. Klara nie cierpiała zasepionych, jak ich nazywała, egoistów. Zmierzyła go okiem szybko jak dobry wódz rzuca wejrzenie na wojsko nieprzyjacielskie, aby obrachować jego siłę. Nicoszukały ją rozłożone szeroko oznaki wesołości, maskujące wątle nader zasoby.

Hrabina od wczoraj już rozważyła jaką ma rolę odegrać — nie mogła innej. Podała mu rękę uprzejmie, wskazując najbliższe miejsce i przybierając minę kondolencyjną, pełną żywego współczucia....

— Siadajże panie Zygmunie, proszę.... Zygmunta się oglądał do koła....

— Ale bądź spokojny, nikogo niema, a moja Miss Draper nie rozumie słowa po polsku.

Obróciła się ku niemu.

— Jakżeś pani znalazła Olimpję?

— Hm! spuszczać oczy cicho wybknęła zapytana — Olimpja jest bardzo — bardzo podrażniona.... Nie będę tać przed panem, kochany panie Zygmunie, że położenie jego bardzo drażliwe i przykre.... Zdaje mi się że stokroć trudniej dobić się serca żony w podobnym składzie rzeczy, niż zdobyć serce kochanki najtwardsze.... Vous avez eu tort, starając się więcej o ojca i matkę niż o nią, obraziłeś ją.... Posłuszna spełniła ich wolę, ale nie została złamaną. Trzeba znać charakter Olimpji... niepodległy... wyniosły.... Słowem... jest źle — bardzo źle....

— Cóż mi pani radzi? zapytał Zygmunta.

— Przepraszam cię panie Zygmunie, przerwała piękna hrabina — ja bym na-przód wiedzieć powinna — co ty sobie radzisz? Tu cudze rady na nic... jeśli serce własne nie podda czegoś....

— Pani hrabina Klara jest dziś bardzo serjo — rzekł Zygmunta.

— Cóż chcesz? jestem wrażliwa. Wczorajsza rozmowa z Olimpją oddziaływała na mnie — czuję się smutną... mam do niej szczere przywiązanie... żal mi jej i trochę was, choć — mężczyzn doprawdy nigdy nie warto żałować....

Zamilkli — Zygmunta twarz wykrzywiła się jakby stłumionym gniewem.

— Trzeba wiele także i cierpliwości — z ukosa na niego rzucając wejrzenie rzekła hrabina — naprawić pan musisz coś popsuł fałszywą idąc drogą, choć naprawienie i zatarcie jest zawsze najtrudniejszą w świecie rzeczą... Nie bądź nadewszystko natrętnym...

— Nie można mniej nim być niż ja jestem — odezwał się Zygmunta z bolesnym uśmiechem, lecz — lecz to nic a nic nie pomaga.

— Ale pan nie na dni ale na lata musisz rozłożyć prześląganie Olimpji, wykrzyknęła hrabina... to nie może być sprawą tygodni! to nie jest rzecz tak łatwa!!

Pochmurniał Zygmunta.

— Jeśli zgrzeszył trzeba wyznać że pokuta będzie też niepomniernie ostrą... szepnął zniechęcony....

Hrabina ruszyła ramionami. — Cóż na to poradzić! Zakochać się ona w panu nie może, trzeba wyrobić na-przód aby go mogła znosić... a potem nudy i wiek... Któż wie? jakiś przypadek, jakiś dowód cichego i cierpliwego przywiązania, może sprowadzić zmianę, tout est possible dans ce bas monde, nawet miłość między takim dwojgiem małżonków jak państwo....

— Bardzo to pocieszające co mi pani zwiastować raczysz! rzekł ironicznie Zygmunta...

— Lecz któż winien? kto winien? szybko dokończyła Klara — sam pan sobie nawarzyłeś tego piwa. Jakżeś mógł sądzić by kobieta jak ona, jak Olimpja, wzięta gwałtem, przymusem mimo woli, zmuszona przez zdobyłą matkę i namówionego słabego ojca — nie chciała się mścić na tym, który takich naprzeciw niej użył środków?

— Ale ja ją — kochałem — kocham!

Hrabina się śmiać zaczęła serdecznie.

— Mój panie Zygmunie, a qui le

dites vous, ja przecież jestem stara i doświadczona kwoczek... Gdybyś się pan kochał, ho! ho! ho! przekupił byś może służącą, popełnił jakąś niedoręczność, nieprzyzwoitość, szaleństwo, ale byś nie posługiwał się rodzicami.

— Inszego sposobu nie było?

— Alboś pan naiwuy jak... niemam do czego porównać — lub masz mnie za naj-niewierniejszą w świecie istotę. Kochany panie Zygmunie, ja ani niewinna, ani prostoduszną nie jestem... Odkryj swą grę i mów szczerze. Ożeniłeś się z nią dla imienia i majątku — masz oboje — ale serca, o które się nie starałeś ona ci nie da — i, ma słusność. (C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

III.

(Ciąg dalszy.)

Sekundant mój zrumieniony grogiem, rozpromieniony, w najlepszym humorze, traktował ze mną o odstąpienie pierwszeństwa w pojedynku, aby mógł sprawdzić praktyczność swych senegalskich pchnięć, na gruncie angielskim.

Zbliżyliśmy się do jednej z głównych pocztowych stacyj, wyjmując z kieszeni list i w chwili gdy go kładłem do skrzynki, ostatnim rzutem oka postrzegłem, że nie położył na adresie miasta, do którego powinien być odesłany. Już było za późno, list wpadł mieszając się z tysiącem innych. Nieszczęśliwą przygodą dzieje się z towarzyszem.... Dla odbycia narady i gruntownego rozebrania kwestji, wstępujemy do wspaniałego przybytku zabicia trosk, i tam przy kieliszku cheri układamy kampanję w celu odebrania listu. Dżentelmen podejmuje się wystąpić z mową mającą zmieknąć serca gospodarujących na poczeie miss.

Bez żadnego wypadku dostajemy się do pokoju ekspedycji. Trzy miss zajęte sprzedażą marek, ważeniem listów, kontrolą, — dwie inne przy telegrafie. Siadamy dla nabrania odwagi i decyzji, a przedewszystkiem upatrzenia chwili wolnej od natrętów, kupujących marki. Dżentelmen skupił uwagę, układając mowę. Powstajemy. Dżentelman kłania się kapeluszem, miss odpowiadają schyleniem główek. Dżentelmen zaczyna:

— Buntifol Miss! — co znaczy: piękne panny. Miss spoglądają po sobie. — Nie myślę się jeżeli używam przymiotnika, który się wam tak słusznie należy. — Miss uśmiechają się. — Oto przed wami stoi dżentelmen cudzoziemiec, (kłaniam się z miną skromną) nie prosi on żadnej z was o rękę w tej chwili, nie dla tego jednak, by nie był kawalerem, lub żeby nie miał zamiaru ożenić się, lecz z tej prostej przyczyny, że jeszcze nie zdecydował się w wyborze. — Dostaje lekkie uderzenie w bok, przy znaczącym spojrzeniu, aby zwrócić moją uwagę na trafność zwrotu mowy. Missy przycajone jak kotki parsknęły śmiechem. Mówca po małej przerwie kontynuuje:

— Dżentelmen znajduje się obecnie w stadium wyszukiwania towarzyszki. Missy spuszczaają oczy, i znów następuje ruch ręki dżentelmena w stronę mego boku, który atoli tym razem nie doszedł do celu, z powodu iż oddaliłem się, aby

uniknąć zbyt bolesnego budzenia mej uwagi. Dżentelmen mówi dalej:

— Towarzyszek, którą chce kochać i ładnie ubierać! — silny rzut ręki w stronę mego boku — tak jak teraz radby odebrać list!...

— Jaki list? — zawołały miss.

— List, który pisał do swojej rodziny, opowiadając w nim o zamiarach ożenienia się w Londynie. Taki list nie może zaginąć! — Miss robią wielkie oczy.

— Mówże ser co było więcej w tym liście! — zawołał dżentelmen.

Zbliżam się do stołu, który nas oddzielał od miss.

— Jeżeli treść listu mego zajmie panie, z przyjemnością go odczytam.

— Musisz głośno przeczytać — dodał dżentelmen.

— Lecz ser, my dotąd nie nie rozumiemy, — przerwała jedna.

— List, który pisałem w zamiarze opowiedzianym przez dżentelmena.

— Należy westchnąć w tem miejscu — szepnął dżentelmen. — Missy wybuchając śmiechem uciekają do drugiego pokoju. — Zostajemy sami; po krótkim czasie jedna z miss dbając o utrzymanie powagi, wraca.

— Westchnął dwa razy — szepnął jej dżentelmen.

Miss płacze, zasłaniając usta chustką.

— Płacz pani, płacz — szczęśliwi, którzy płakać mogą! — wydekłamał dżentelmen.

— A więc mówiłeś ser o liście, który....

— Chciałbym wycofać z powodu niedokładnego adresu.

— O której godzinie był rzucony?

— Pięć minut przed piątą.

— Mów ser poetycznie — przerywa dżentelmen.

Miss znów niby płacze, — po chwili tłumiąc śmiech, oświadcza:

— List pański jest już na ogólnej sali. Obejdzie panowie budynek, pierwsze drzwi na prawo.

Wychodzimy, kłaniając się jak można najuroczyściej. Miss przy stole płacze... drugie miss wyglądają przez szklane drzwi bocznego pokoju.

— Kochać i ładnie ubierać! — powtórzył dżentelmen. — Czujesz ser głębokość tego wyrażenia na naszej wyspie? Jaka to potęga w tych dwóch słowach! Kochaj i ładnie ubieraj, a reszta będzie ci przebaczoną. Już to Dżon-Bule umieją dyplomatyżować! Dyplomacja to także handel, bo i ona polega na tem, aby swoje jak najlepiej przedstawić, jak najdrożej pozbyć, a przeciwnika olśnić, zmęczyć, zmaltretować i to co nam potrzeba wziąć od niego jak najtaniej. Lecz ten system wymaga najprzód rozumu, — dalej bogactwa, aby mieć za co czekać, — i siły aby mieć czem maltretować. Dżon-Bule mają to wszystko.

— Czy i w handlu z czarnymi używacie tej samej dyplomacji?

— Zawsze jedno i to samo. Najprzód rozwija się przed nimi własną potęgę, pokazuje broń, sprawdza jej celność, częstuje się arakiem, rozdaje tytuły, — damy dostają szklane korale, mężczyźni kolczyki. Po czem następuje u czarnych tak samo jak i u białych, chęć nabycia pożądanego przedmiotu. Wtedy stawiamy silne i najdogodniejsze dla siebie warunki z konsekwencją je podtrzymując, aby przeczekać czas i jeszcze skorzystać na czasie. Oznaczamy za nasz towar — pewną ilość funtów kości słoniowej, i odpowiednią liczbę

skór, ustanawiając termin dostawy — i od tego czasu nie dajemy już ani kropli rumu, ani jednego cygara. Czarni zwykle obiecują wielkie rzeczy i przechwalają się, dużo mówiąc o swoich bogactwach i wielkości.

— To coś jak u nas w Europie, tam gdzie zwykle panuje ubóstwo i lenistwo.

— Chciałeś ser powiedzieć, jak u Irlandczyków.

— W tej chwili, miałem na myśli inny kraj, w którym całe tomy zapisują o patriotyzmie i poświęceniu, wraz ze skargami na wszystko i wszystkich, którzy mają niby przeszkadzać w urzeczywistnieniu poświęceń, a gdy ogłoszą składkę na sprawę narodu, o której przez dziesięć lat co dzień rozprawiają, składka w sumie swej nie wypada po groszu na każdą głowę ludności....

— To są przecież nasi Irlandczycy?

— Być może, lecz to są także nasi Galicjanie.

— Co to za naród? — zapytał poważnie dżentelmen.

— Jeden ze wschodnich ludów.

— Po wschodzie nie podróżowałem, zresztą dzicy są prawie zawsze do siebie podobni....

— Bez wątpienia. Ale mówiłeś ser o przechwałkach czarnych?...

— Po tych olbrzymich obietnicach — znoszą kość i skórę, jednak zwykle mniej, jak trzecią część tego, co przyrzekli. Dostają też odpowiednią ilość broni i prochu, niezadowoleni krzyczą: zdrada! grożąc nam; po czem następują targi, dalej prośby, a nareszcie oddają ostatnie zapasy, i ciągle gniewając się na nas z pogrozkami odchodzą do domów. A my w targach, dodajemy do cen wartość straconego czasu, zabieramy kość i skórę i zadowoleni wracamy do siebie. Przenies ser ten zwykły system handlu do dyplomacji i politycznych zabiegów,

— Już przeniosłem....

Dwadzieścia cztery okien, po 12cie z każdej strony — sklepienie oszkłone, — stoliki przez całą długość budynku w cztery rzędy ustawione, na których z mosiężnych prętek zbudowane w rodzaju klatki arkady. Taka jest główna sala i podstawa maszynierji do rozdzielania ośm razy dziennie nowin spragnionym wiadomości mieszkańcom dzielnicy.

Przedziałki utworzone z prętek służą do sortowania i układania listów. Cała działalność polega na pośpiechu, i punktualności w roznoszeniu listów. Parę tysięcy rzuconych listów do każdej większej poczty zwyczajnie co parę godzin; parę kroć sto tysięcy, a często więcej jak milion rzuconych o wpół do szóstej na pocztę City, — należy rozdzielić, rozklasyfikować i rozesać, w Londynie ośm razy, po całej Anglii cztery razy dziennie, na kontynent dwa razy.

W samym Londynie można się dwa razy dziennie skomunikować z interesantem, to jest, dwa razy napisać list i dwa razy odebrać odpowiedź. Wygoda wielka, to też Anglicy nie żałują marek, a poczta najświetniejsze robi interesy, zawdzięczając swoje zyski energii i pośpiechowi. Dla czegożby zatem nie mieli mieć zyskowej maszyny pocztowej jeżeli mają maszynę do obierania ogórków, gruszek i siekania mięsa na kotlety!

W dwie minuty znaleziono w jednej z przedziałek mój niedokończony list. Dżentelmen zachwycał się szybkością odszukania, a ja dopisałem adres i powtórnie rzuciłem list do skrzynki.

Maszerujemy sobie najspokojniej, rozprawiając o znikomości rzeczy ludzkich, gdy nagle szanowny mój towarzysz, tak silnie a niespodzianie został potrącony przez biegnącego dżentelmena, że o mało nie stracił równowagi. Słusznie obrażony poprawił gwałtownym ruchem rękawy, zawołał: stop! (stój) i pobiegł za uciekającym. Nieznajomy jednak był już dość daleko, ubliżywszy w ten sam sposób po drodze majestatycznie toczącej się okazałej misses. Szczęściem świadkiem napaści był policjant i ten ujął się za przesładowaną, stając w poprzek drogi biegnącemu. Zatrzymany stara się go usunąć, herkulesowa siła policjanta chwytając w kleszcze swych rąk rękę dżentelmena, który zmęczony biegiem nie jest w stanie wymówić słowa, usiłując się wyrwać. W tym czasie nadjeżdża tylbury, a w niej dwóch mężczyzn. Jeden z nich wyskakuje, rozmawia z policjantem, po kilku zamienionych wyrazach, więzien zostaje uwolniony i nie tracąc czasu tem gwałtowniej ucieka, a za nim dobrym kłusem dzielnych koni w tylbury dwóch młodych ludzi.

Zbliżamy się do policjanta; towarzysz mój prosi go o objaśnienie zajścia.

— Biegnącym — odpowiada — jest porucznik Doyne z 38go pułku Jej królewskiej Mości; panowie w tylbury są jego kolegami. Między porucznikiem a kapitanem, który ze mną rozmawiał, stanął zakład. Porucznik Doyne podjął się w sześciu godzinach przebiec 30 mil angielskich z obozu Aldershot do swojego klubu na Picadilly, spieszył się więc aby zakład wygrać*).

— I tyś go śmiało zatrzymać!? — zawołał zapominając się oburzony mój towarzysz.

— Sądziłem po rozpalonej twarzy, krwią zaszytych oczach i gwałtownych ruchach, że uciekł z domu obłąkanych.

— A gdyby zakład przegrał? — pyta nawiśniętym obrazem dżentelmen.

— Nie byłaby w tem moja wina; porucznik powinien trzymać w ręku chorągiewkę z napisem: „Zakład biegu,“ lub mieć zawieszoną tabliczkę na piersiach. W takim razie poczuwałbym się do obowiązku torować mu nawet drogę.

Praktyczna uwaga policjanta, która przy tem była oryginalną uwagą angielską, rozbroiła dżentelmena.

— Jeżeliliby zrobił podobny zakład, zawieszę sobie tabliczkę z napisem na piersiach, lub zmuszę mego przeciwnika do tej ostrożności, — rzekł zwracając się do mnie.

— Ja zaś jestem za chorągiewką — odpowiedziałem.

— Widać ser, żeś się nigdy nie zakładał o bieg na długą metę. W drugiej połowie drogi zaczyna ci już wszystko ciężać, a przy końcu chciałbyś oderwać własne ręce, odjąć głowę i rzucić na bok aby sobie ulżyć. Zakład o długą metę, wspaniała rzecz... 30 mil angielskich i sześć godzin, to nie pospolite!

— Ciekawym kto wygrał zakład i ile wynosiła stawka?

— Jutro z dzienników się dowiemy. Patrz, ser. — Przed nami stanął w wyszarzanym odzieniu z wybladłą twarzą, człowiek dzwigający zawieszane z dwóch stron długie deski, oklejone ogłoszeniami.

— Patrz ser, — zawołał dżentelmen pokazując rękę na deskę zawieszoną na przodzie ruchomego słupa ogłoszeń. — Mohawk minstrel!

*) Załączam redakcji wycinek z gazety opisującej przytoczony zakład.

Żywy słup słysząc wykrzyknik obraca się, abyśmy mogli na drugiej stronie deski przeczytać przyklejony afisz.

— Dziś — mówił dalej towarzysz, — jesteś pan moim czarnym; musisz mi towarzyszyć. — Lubię pasjami naszych mistreli gdyż podczas ich gry wszystkie wspomnienia z kolonji stają mi żywo przed oczyma.

— Nie śmiem ci ser odmówić, pójdziemy.

— Starta pycha nieprzyjaciół kościoła, pena za sztukę! — Zwycięstwo pana Snape, założyciela nowego kościoła i jego siostry nad pstrokatymi faryzeuszami! Za pena — baj*) — baj — baj! — wołał chłopiec na rogu ulicy, trzymając pod pachą plik papieru. Jeden obraz rozłożył na chodniku, obstawiając go kamykami.

— Musimy kupić — rzekłem, — założyciel nowej religji jest moim znajomym, a jego siostra moją lend-lejdy.

— Wiele dziś sprzedajesz? — zapytał dzentelmen chłopca.

— Pozbyłem już 300 sztuk; o piątej po południu zacząłem sprzedawać, — odpowiada dwunastoletni chłopak bez czapki.

— A wielu was rozprzedaje dziś te rysunki?

— Przy mnie rozdano dwudziestemu trzeciemu.

— Jaki masz procent dla siebie?

— Pena od dziesięciu, szylinga od sta.

— Masz więc już trzy szylingi hultaju gotówką, cóż z nimi zrobisz?

— Szylinga przeznaczam dla mojej starej (matki) na dom, za szylinga kupię słoniny, chleba i piwa, a jeszcze za szylinga, czapkę.

— Jakiego koloru?

— Białą w niebieskie pasy.

— Kup w czerwone! — krzyknął dzentelmen, rzucając mu sztukę sześciopenową.

— O ray ser, jutro zobaczysz mnie w czapce w czerwone i białe kliny. — Chuchnął na srebrną monetę i schował ją do kieszeni.

— Dla czego chuchasz na ten pieniądz? — zapytałem.

— To znaczy ser, że go przeznaczam do banku.

Wszystkie pieniądze zdobyte trafem idą do banku.

— Dużo masz kapitału?

— Trzy funty, sześć szylingów i ośm penów.

— Stara twoja musi być kontenta?

— Nic nie wie, mogłaby przepić; książeczkę bankową chowam na strychu.

— Cóż myślisz z uskładanemi pieniędzmi robić?

— Interesa na City.

— Umiesz czytać?

— Chodzę w niedzielę do szkoły.

— Będiesz miał miliony! — zawołał dzentelmen — jak wielu z twoich poprzedników.

— Aj hop ser — aj wil! (C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

ZA DNI NASZYCH,

skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Artur Grottger.

Każda ze scen Grottgera, których tyle przebiegliśmy niedawno, jest wzniosłą w swojej prostocie, żadna się nie powtarza mimo iż cza-

*) Baj — kup.

sem powtarzają się sytuacje, i w każdej najzupełniejsza panuje harmonja. Na wszystkie te zalety zwracałem już uwagę czytelnika przy pojedynczych kartonach. Siła jego twórcza jest tak wielką, że czasem w trzech, dwóch, a nawet jednej osobie zamyka całe dzieje narodu lub człowieka. Wystarczy jeśli przytoczę grupę żydów, wieśniaka z chorągwią w towarzystwie dwóch szlachciców, mnicha odbierającego przysięgę od gajowego, bernardyna, który kościół zamyka, litwinkę modlącą się w kopalniach i artystę, który kreśli postać gniewnego Boga. Aby wypowiedzieć co dusza czuje, nie potrzebuje on tłoku ludzi, licznych akcesorjów i znaków symbolicznych. Tylko mistrz prawdziwy wypowiada tak wielkie myśli tak małemi środkami.

Nie raz zdarza się artystcie, że gdy mu się powiedzie jakaś scena lub postać, później rozmyślnie lub mimowoli ją powtarza, popadając w ten sposób w manieryzm. Grottger ustrzegł się tego zboczenia. Po dwakroć widzieliśmy scenę, w „Polonji“ i „Lituanji“, w której wieśniak otoczony powstańcami był osiłą sytuacji, a każda z nich odrębnie pojęta i odrębnie wykonana. Po dwakroć zaglądaliśmy do izb, których mieszkańców nieprzyjaciół pozabijał: w „Polonji“ i „Wojnie“, a przecież nie znaleźliśmy nawet w układzie leżących osób jednego rysu wspólnego; dwa razy ukazał nam Grottger geniusza zniszczenia: w „Lituanji“ i „Wojnie“, a mimo to każdy z nich odrębnie został pojęty; po dwakroć naraz widzieliśmy pobojuwisko: w „Polonji“ i „Wojnie“, a jak odmienne pierwsze od drugiego!

Co się tyczy harmonji w kompozycji, to Artur Grottger może śmiało służyć za wzór najpierwszym nawet artystom. U niego nie ma postaci oderwanych, nie należących do całości, scena rozdzielona na kilka grup ma zawsze nic artystyczną, która je w jedną całość wiąże, słowem nie ma nigdzie ani za wiele, ani za mało. Co więcej, jako kompozytor z głębokiem poczuciem piękna artystycznego, podnosi zawsze osobę najgłówniejszą — tak że ona panuje nad otoczeniem. Nie jednokrotnie zwracaliśmy na to uwagę. Tego rodzaju harmonja była właściwą tylko mistrzom włoskim. Tak postać Chrystusa wznosi się w „Ostatniej Wieczery“ Leonarda da Vinci.

Dla dobrze pojętego piękna, Grottger takim jest przejęty pietyzmem, że nie zapomina o niem nawet wtedy, gdy ręka ma skreślić scenę przykrą dla oka i duszy, jak n. p. mord, zdradę, łupiestwo na pobojuwisku. Ukrywając przed naszym wzrokiem wstrętną walkę konania, w której nie jeden malarz się lubuje, ukrywając wszędzie oprawców, i nie dopuszczając by nawet ci żołnierze, którzy zdradzić trzymają, zbyt brutalnie z nim się obchodzili (Wojna) — pozwala nam dzięki tchnieniu idealnemu, które z najsmutniejszych nawet wieje epizodów, zatrzymywać się dłużej przy scenach tragicznych, nie zostawiając w naszej duszy niemilego wrażenia. Czy może być co przykrzejszego jak śmierć, a jednak który z jego trupów jest odrażającym? Trudno o boleśniejszą scenę jak ta, gdy wśród nocy żołnierze uprowadzają młodziana z rodzinnego domu, a mimo to ta idealnie obmyślana dziewczica jak błogie wywołuje uczucie, chociaż w tej chwili tragicznej rozpacz jej prawie granic nie ma! Ból ustąpił miejsca pięknu. Grottger rozumie piękno jak Grek starożytny. Ponieważ kobieta nie zawsze może cierpieć z tym spokojem co mężczyzna, więc ilekroć przewiduje, że objawiona boleść

na twarzy jego bohaterki mogłaby być przerażającą, lub nawet wstrętną — natychmiast całą twarz jej zasłania. Nie uczynił tego jeden raz tylko w „Polonji“, gdy wdowa poznaje swego męża między zabitymi na pobojuwisku — i wskutek tego zboczenia wkradła się plama do jego rysunków.

Najwznioślej pojmuje Grottger mężczyznę i dzieci, słabiej za to kobietę. Mężczyźni jego to po większej części skończone typy, stojące na równi z ideałami, jego dzieci to same ideały. Kobiety natomiast nie dorównują stosunkowo mężczyznom potęgą ducha, ani dzieciom pięknoscą form zewnętrznych.

Aby być zrozumiałym muszę pokrótce wytłumaczyć jak typ pojmuje. Każda rasa ma odrębne znamiona, po których można ją od innej odróżnić. Wybierzcie te rysy charakterystyczne tak moralne jak fizyczne i wzniesione do potęgi uwidocznicie je na skończeniu pięknej twarzy, a otrzymacie typ-ideał. Oto żywe przykłady: W borowym, gdy przed kapłanem przysięga, a jeszcze widoczniej, gdy ze sztandarem w ręku zachęca powstańców do ataku na nieprzyjaciela, występuje prawdziwy typ-ideał. Na pierwszy rzut oka poznajemy w nim litewskiego wieśniaka, tak znakomicie są schwyczone wszystkie rysy charakteryzujące tę rasę, a mimo to czy widzieliśmy kiedy równego mu w rzeczywistości? Ta dziwnie piękna i szlachetna twarz taką jest otoczona aureolą, taki z niej bije zapal i taka ducha potęga, że aby zobaczyć żywych takich wieśniaków, trzeba po nich sięgnąć chyba do nieba. Nie mniej skończonym polskim typem-ideałem jest powstaniec z głową zranioną, którego kobieta usiłuje do domu wprowadzić; zakonnik odbierający przysięgę od borowego, wieśniak postępujący ze sztandarem na pogrzebie, wreszcie młodzian opowiadający chłopcom przebyte dzieje naszego narodu i wiele innych. Typem-ideałem nie polskim już, ale francuskim, jest młodzieniec losujący na III. kartonie „Wojny“, — hebrejskim rabin na I. kartonie „Warszawy“. Dzieci Artura Grottgera są bez wyjątku ideałami niewinności i wdzięku, a mimo to z twarzy każdej poznac z jakiej rasy pochodzi. Takich dzieci nie umiał malować Murillo. Co do kobiet, to mówiłem już powyżej, że są one najsłabszą stroną Grottgera, ale chociaż bardzo mało między nimi różnic, chociaż cała grupa kobiet zgromadzonych w kościele, na kartonie V. „Warszawy“ jest nadto monotonna, z wyjątkiem dziewczicy składającej ręce chłopczykowi, mimo to po czterokroć powiodło się Grottgerowi stworzyć ideał kobiety typowej. Taką jest wdowa wchodząca z dziećmi do kościoła, Litwinka leżąca kule dla męża, ta sama kobieta modlająca się w kopalniach syberyjskich i żona płacząca w ogrodzie, gdy mąż na wojnę odjeżdża. Ideałem form zewnętrznych, bez odpowiedniej atoli siły duchowej, jest także dziewczica podająca chleb dzieciom zgłodniałym.

Ilekroć Grottger nie mógł lub nie potrzebował stwarzać postaci co do form zewnętrznych skończenie pięknych i duchowo silnych, przelewał na kartony ludzi na wskroś żyjących, pełnych rzeskości i energii. Figuranta, który stoi nic nie mówiąc, nie ma u niego. Każda z jego głów mówi, każda uzupełnia kompozycję i żadnej od całości oderwać nie można. Jeżeli się zważy z jaką trudnością przychodzi artystcie uprzytomnić w oczach i na twarzy niewidzialną duszę człowieka, i jeżeli przyglądawszy wszystkie

rysunki Grottgera nie znajdziemy ani jednej głowy manekina, to bez pochlebstwa musimy przyznać, że Grottger był mistrzem w całym tego słowa znaczeniu. Starożytni, kując posągi, prócz idealnie pięknych kształtów potrzebowali tylko pulsacji krwi pod marmurową powłoką; dla nich wystarczała krew; o duszę nie dbali. Artysta nowoczesny przykrywając suknią formy cielesne, musi stworzyć krew i duszę w całej ich potęgę. W tem polega główna różnica między artyzmem starożytnym a średniowiecznym i nowoczesnym.

Jakieśmy się przekonali, Grottger umiał stawiać ludzi na wysokości ideału; umiał rzeczywistych podnosić, uszlachetniać. Za to gdy miał stworzyć ideał, że się tak wyrażę czysto abstrakcyjny, któremu zawadza nawet ziemską powłoką, talent jego okazywał się za słabym. Madonna jego to nie przeczysta matka Zbawiciela, ale smutna kobieta ziemska. Chrystus to człowiek pełen łagodności, smutku i dobroci, ale nie Bóg—wreszcie Beatrix to nie genjusz z nieba zesłany, ale piękna kobieta ziemska, która nawet grzeszy zbytnią cielesnością. Gdyby nie układ w jakim Madonnę zwykle przedstawiają, nie zbyt bliska jej obecność obok Chrystusa, niktby nie przypuścił, że to Matka Boga; gdyby nie ciemna korona na skroni Chrystusa, niktby w nim nie widział Zbawiciela świata—gdyby na koniec nie gwiazda świecąca nad czołem Beatriczy i strój idealny, niktby w niej nie przeczuł nadziemskiej istoty. Tych dodatków nie potrzebowały ideały ludzkie. Zkąd to pochodzi? Oto żyjemy w odmiennych czasach, filozofia religijna przestała zajmować ogół, ascetyzmu nigdzie nie widać, człowiek zrosł się nadto z rzeczywistością—słowem zatraciliśmy tradycję abstrakcyjnych ideałów. W obec tych danych okazuje się bezsilnym najpotężniejszy genjusz nowoczesny. Dla tego to religijne malarstwo upadło, a miejsce jego zajęło dramatyczno-historyczne jako, więcej odpowiadające dzisiejszemu życiu i jego wymaganiom. (D. n.)

ZONA POLEGŁEGO.

Nowella

M. JOKAIA.

(Ciąg dalszy.)

W oddali brzmiały okrzyki patrolujących czat nieprzyjacielskich.

Las był tak ciemny, że o kilkanaście kroków przed sobą nie dojrzeć nie można było.

— A teraz Bóg z wami, — ja idę dalej — rzekła wdowa wyciągając rękę do wodza.

— Gdzież to Herminio? W taką noc — sama, przez ten las?!

— Nie pierwsza to moja droga, w podobny czas i takimi manowcami. Niedaleko stąd mieszka młynarz, dobry mój znajomy. Do niego pójdę, przebiorę się w chłopską odzież i dalej ruszę....

— Cóż tak spieszego?...

— Zapomniałeś pan już — ale ja nie zapominałam bynajmniej, że w domu męża mego zostawiła człowieka, który go zabił. Do niego się spieszę. Bóg z wami!

— Nie mogę cię puścić tak samą, Herminio, odprowadzę cię aż na miejsce, albo przynajmniej na brzeg lasu.

— Generale! Nie zapominaj, że jesteś wo-

dzem dwudziestu tysięcy ludzi, których ocalić winienes i to niezwłocznie. Zobaczymy się jeszcze.

Po tych słowach tajemnicza kobieta oddała się żywo w las, zagasiła wziętą ze sobą pochodnię, i wkrótce zniknęła pomiędzy gęstymi drzewami, — które same jedne tylko wśród tego zimowego, umarłego świata zachowały melancholijną zieloność.

Wódz spoglądał za nią długo jeszcze a potem oderwał się prawie gwałtem, przebiegł na nowo podziemne przejście i jeszcze przed końcem długiej nocy zimowej przybył do kwatery swojej z powrotem.

Natychmiast zabrzmiał rozkaz zwijania obozu. Pionierów wysłano naprzód dla oczyszczenia podziemnego przejścia, a jak tylko ci z zadziwiającą szybkością z polecenia swego się wywiązali, ruszył wódz z najlepszą częścią swego wojska podziemnym tunelem.

Opuszczona kopalnia zawrzała niezwykłym hałasem, ciemność od stuleci w tych miejscach osiedloną niezwykajnie tu światło z gniazda wypłoszyło. Na lewo i na prawo ruszyły się cienie wywołane blaskiem pochodni, jak poczarne gnomy pełznące za światłem kolejno znikwały w szczelinach i pokazywały się znowu, na nagich ścianach. Wódz i cały sztab jego przyświecali robotnikom usuwającym głązy i równającym jamy i wyboje, i tuż za nimi posuwały się ciężkie działa, które pięć i sześć koni ledwo uciągnąć zdołało. Chwilami żołnierze sami przyprzegali się do armat i wyciągali je, gdy na błotnistym miejscu uwięzły.

Jeszcze trwała nieskończona noc zimowa, a już najlepsza część wojska z kilkoma armatami wyszła z podziemia. Gęsty las jodłowy ukrył tych dzielnych przed wzrokiem nieprzyjacielskiej armji.

A gdy szarzyć zaczęło ruszyła reszta wojska, zostawiona w obozie, do Szelakny, bitą drogą.

Nieprzyjacieli czekał spokojnie w silnej pozycji swojej, pewny że zgniecie tych zuchwalców.

Ale ledwo pierwszy strzał armatni wypadł z jego szeregów, na tyle jego pojawił się przeprowadzony podziemną drogą oddział węgierski z wodzem swoim na czele. — Zagrożony wzięciem we dwa ognie nieprzyjacieli musiał z całym lewym skrzydłem z bitego gościńca ustąpić i dzielnym Węgrom wolną zostawić drogę.

Tak ocalił wódz armję swoją, którą wszyscy już mieli za zgubioną.

Od tej pory gwiazda jego świetnie błyszczeć zaczęła.

IV.

Wdowa przybyła do domu swego znacznie oddalonego od miejsca, gdzieśmy ją zostawili.

Ale młodego oficera od sztabu, dla którego tak się spieszyła, już u siebie nie zastała.

Nagle poruszenie wojsk popchnęło go o jedną stację dalej i wdowa ujrzała w domu swoim zamiast niego garstkę prostych żołnierzy, a w pokoju swoim oficera niższego stopnia, który skoro ją tylko na progu zobaczył, surowym głosem zapytał: czego szuka?

— Jestem gospodynią tego domu, odpowiedziała sucho.

— To bardzo dobrze, rzekł na to porucznik, bo otrzymałem właśnie rozkaz odesłania gospodyni tego domu do najbliższej stacji, jak tylko się pojawi.

— Rozkaz? Od kogo i z jakiej przyczyny?

— Od majora, który tu stał przedemną a jest moim zwierzchnikiem. Z jakiej przyczyny? Na to odpowiedzieć nie mogę, i nie mnie to nie obchodzi.

Wdowa nie już nie odrzekła na to,—tylko zwróciwszy się do woźnicy, który ją do domu przywiózł, kazała mu gotować się do dalszej podróży na wskazane miejsce,—a potem wręczyła porucznikowi klucze od swoich pokojów i z sarkastycznym chłodem dodała:

— Ponieważ objąłeś pan już dom mój w posiadanie, chciejże opiekować się i moim majątkiem.

Porucznik przywołał trzech grenadierów i rozkazał im siadać razem z damą na bryczkę.

— A to na co? spytała dama z wyrazem obrażonej dumy.

— Będą towarzyszyć pani.

— Czy tego rozkaz wymaga?... rzekła z ostrym naciskiem.

— Taki zwyczaj pani,—odparł oficer i wszedł do domu trzasnąwszy drzwiami.

Grenadierzy siedli obok i naprzeciwno damy na bryczce. Ona była trupio blada, nawet usta jej pobieleły ze stłumionego gniewu. Zmłodziła jednak i nie zdradziła, co się w niej dzieje.

Po drodze wdała się w rozmowę z grenadierami. Wszyscy trzej byli Polacy. Mówiła im wiele o szczególnych okolicznościach, szlachetnych porywach i ideałach, o wielkich i pięknych czynach.

Grenadierzy słuchali uważnie, patrzyli na nią i coraz bardziej zasluchiwali się i zapatrywali, ssąc nieświadomie i wciąż chciwiej powabną truciznę w słowa jej zawartą, a gdy woźnica w pewnej miejscowości na popa przed gospodą się zatrzymał, pytali go wszyscy trzej: w której stronie węgierskie wojska stać mogą?

I wszyscy trzej zbiegli do rewolucyjnych szeregów!

Wdowa została sama. Mogłaby była także uciec, gdyby miała ku temu ochotę. Ale ani jej to przez myśl nie przeszło. Owszem gdyby ten człowiek nie był jej do siebie wezwał — sama byłaby go wyszukała. Kazała się zawieźć do wskazanej stacji, a tam przybywszy, zapłaciła woźnicy, i odesłała go, zkąd przybył, to znaczy, wsi położonej w trzecim komitacie. Po jego odejściu, nikt nie mógł powiedzieć w jaki sposób istotnie na to miejsce przybyła.

Udała się wprost do majora, który wydał rozkaz dostawienia jej. Z twarzą, na której najmniejszego śladu gniewu byś się nie doszukał, przystąpiła do niego — a ujrzawszy na jego pięknej, młodzięczeni obliczu niezwykle chłód, zauważywszy w obejściu jego odpychającą surowość, udała, jakoby ją to przeraziło i drżąc spytała:

— Panie majorze, pan gniewasz się na mnie?

Mógłby kto uwierzyć, że ta kobieta się boi, drży a ona właśnie w tej chwili kładła podstawy do wykonania owego planu, za pomocą którego zemstę osiągnąć sobie obiecała.

— Pani, odparł major przymuszenie chłodnym tonem, chciej przebaczyć zem cię tu polecił dostawić, ale obowiązek...

— Wybacz pan, nikt mnie tu nie dostawił, — ja sama z wolnej woli przybyłam...

Major stanął osłupiały.

— Więc to nie mój oficer przysłał panią oficer którego w jej domu zostawiłem?

Dama uśmiechnęła się, zarumieniła, spuściła oczy... Wszystko z wyrachowania...

— Istotnie oficer pański mnie wysyłał, ale nie tutaj. Oznajmił mi, jaki otrzymał rozkaz

od pana i radził ażebym się gdzieś ukryła a najlepiej w miejscu, jemu samemu tylko wiadomem. Ponieważ jednak zauważyłam, że młodzieńiec ten osobiście spojrzenia na mnie rzucał, wołałam się raczej panu aniżeli jemu powierzyć.

Major uderzył z pasją pięścią w stół.

— Porucznika mi tu, natychmiast! krzyknął na ordynansa.

Gdyby był w tej chwili miał winowajcę przed sobą, prawdopodobnie byłby go przebił. Nieposłuszeństwo rozkazom, zмова i porozumienie z więźniami, wszystko to wystarczało do rozbudzenia w nim gniewu jako w przełożonym cóż dopiero gdy płomień tego gniewu podsycało tchnienie zadróści?

Takie poruszenie kobieta ta kilkoma słowy zdolała wywołać!

— Sama więc i z dobrej woli przybyłaś tutaj pani?... spytał ją major, już nie chłodnym i przymuszonym tonem, ale z wyrazem namiętnego uniesienia.

— Zupełnie sama i nieprzymuszona, jak pan widzisz.

— I cóż skłoniło panią do tego kroku?

Kobieta złożyła ręce i rzuciła na niego takie zwodnicze, takie rokoszne, takie w piekło wabiące spojrzenie!

— Trudno uanu to odgadnąć... szepnęła.

Młodego oficera odurzył zupełnie czar tego spojrzenia. Ten kuszący uśmiech, ten błysk szafu w wielkich, wilgotnych oczach, wybiły całkiem z jego pamięci wzajemną ich pozycję; zapomniał, że ma oskarżoną przed sobą, a sam jest sędzią. Padł do nóg jej, okrył jej ręce całunkami i wzroku od jej oczu nie miał siły oderwać.

Gdyby był zauważył i pojął ową groźną, prostą fałdę na czole tej uśmiechniętej kobiety, zmarszczkę dziwną, która chłodno i bez zmiany, jak wierna czata po nad kłamliwą grą jej rysów stała!...

— Przedewszystkiem jednak,—rzekła wdowa, z afekcją się odsuwając — chciej mi pan powiedzieć, dla czegoś się na mnie gniewał, dla czego, gdybym była dobrowolnie się nie stawiała, gotów byłeś gwałtu nawet dla sprowadzenia mnie użyć.

Major rzucił się z radośnym śmiechem na kanapę, pociągnął ją do siebie i odparł:

— Miałabyś pani mniej domyslności odemnie?...

— To żart, odrzekła wdowa, ale bez żartu, musiałeś mieć przecież jakiś ważny powód, jakiś tytuł, ażeby upozorować wezwanie mnie do siebie!

— Nie byłaś pani długo w domu a ludzie szeptać poczęli, że przebywasz w obozie węgierskim w charakterze — szpiega. Miałem więc prawo ściągnąć cię tutaj — i tłómaczenia żądać.

— Ludzie prawdę szepotali.

— Co?! zawołał oficer zrywając się i spojrzawszy surowo w oczy kobiecie.

Żaden mięsień na jej twarzy nie drgnął.

— Tam byłam, w samej rzeczy, odrzekła spokojnie i ztamtąd wracam. Dotąd wszystko bardzo dobrze ludzie wiedzieli. Ale tego nie wiedzieli, dla kogo zbieram wiadomości, czy dla cesarskich, czy dla madjarów.

Majora przejęło błyskawiczne podejrzenie.

— Pani, zawołał, byłoby mi niezmiernie boleśnie, gdybym musiał się przekonać, że nie zawsze prawdę mówisz. Lepiej więc będzie jeżeli damy temu pokój. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że przed obowiązkiem kary i pomsty, musiałaby ustąpić rokosz, jakiej w tej chwili doznaję.

— Przeciwnie, mówmy o tem. Zapewne masz pan swoich donosicieli. Weź pan raporta ich do rąk i zobacz, czy ja ci prawdy nie powiem.

— Dobrze,—rzekł major, spojrzawszy na złożony papier, który wziął ze stołu,—o jedno tylko panią zapytam: z której strony rewolucyjne wojsko zamknięte w Szemnitz przygotowuje się do najsilniejszej obrony?

— Z żadnej — niema go już w Szemnitz. Major skoczył usłyszawszy tę odpowiedź...

— Przebiło się więc przez naszą armję i poszło ku Kremnitz?

— Bynajmniej — poszło ku Szelaknie.

— Ależ to niemożliwe!... — wykrzyknął oficer, uderzając ręką po leżącym na stole papierze. W tym przejętym liście wódz ich pisze, że drogę do Szelakny taka siła mu zagradza, iż pierwszej połowy wojska swego by stracił, nimby się tą drogą przebił.

— Szpiegi pańskie nic nie warcia! — odrzekła wdowa, biorąc mu papier ów z rąk i rozdierając. Wódz węgierski bez straty jednego człowieka, bitą drogę, w jasny boży dzień, przy dźwiękach muzyki wymaszerował. Teraz już musi być pod Branyiszko.

— Ależ to bezsens, niemożliwość!...

— Oficerowie wasi opasujący go toż samo mówili, kiedym ich zawczasu jeszcze przestrzegala. Wiedzialem na pewno, że wódz węgierski, po szybkim pochodzie przez góry, ma zamiar zająć tył cesarskim, ale panowie oficerowie wasi wierzyli lepiej swoim urzędowym donosicielom, którzy zapowiedzieli im fałszywy atak Węgrów na Kőrmöcz.

Jeszcze oficer z osłupienia spowodowanego temi słowy kobiety się nie otrząsł, gdy wszedł kurjer i oddał mu depesze, słowo w słowo potwierdzające, co przed chwilą usłyszał.

— Prawdę powiedziałam, spytała z tryumfującym wyrazem wdowa.

Major wyciągnął do niej rękę.

— A wiesz pani, którędy buntownicy uszli? zapytał...

— Sądę, że ścieżkami górskimi — odrzekła kobieta z dobroduszną miną.

— Pod ziemią... Skrósł góry!...

— Zdziwiałające! — zawołała, podnosząc ręce. — Prawie nie do wiary!...

I w rysach jej odmalowało się najwyższe zadziwienie, osłupienie prawie.

Ktoby był osmielił się nawet przypuszczać, że to ta właśnie kobieta, drogę ową wodzowi wskazała?

Major nabrał najgłębszego przekonania, że piękna wdowa nie tylko uczuciom jego serca, ale i sprawie, której on służy — sprzyja. Rozmowa pomiędzy niemi coraz żywszą się stawiała, kobieta żartowała, kokietowała; młody oficer przysuwał się do niej coraz bliżej: zaczął od całowania rąk, wnet objął ramieniem smukłą jej kibić — wszystko jednak nie bez trudności i pewnego oporu. Wreszcie widok pełnych purpurowych ust damy stał się dla niego zbyt gwałtowną pokusą, każdy błysk jej oczu upajał go coraz mocniej.

Odległość pomiędzy obojgiem wyraźnie się zmniejszała... nagle pod oknem zabrzmiał szorstki głos, drzwi się otwarły i do pokoju wstąpił wezwany porucznik ze swobodnym uśmiechem.

Ktokolwiekby w takiej chwili się zjawił, byłby z naturalnych bardzo przyczyn niechętnie przyjęty — a cóż dopiero nieszczęsny porucznik, w którym major nie tylko nieposłusznego podwładnego ale i ukrytego rywala widział!

— Przejdź pan do drugiego pokoju! zawołał gniewnym głosem, i podniosłszy się gwałtownie wszedł za porucznikiem do przyległej salki. Tam stanawszy naprzeciw niego, począł mu prawie straszliwe kazanie o subordynacji i poczuciu obowiązku, z objaśnieniem przypadków, które się za zdradę uważają.

Porucznik w osłupieniu otworzył szeroko oczy i usta i kierując się wspomnieniem poufalej sytuacji, w której majora swego z damą zastał, sądził, że niczem lepiej niepojętego gniewu swego zwierzchnika nie zażegna, jak zaręczeniem, iż w obec damy z wyjątkową łagodnością i uprzejmością się zachowa.

— W tem właśnie wina pańska!... przerwał mu ostro major. — Miałeś pan rozkaz być surowym, nie uprzejmym!

Porucznik nie już nie pojmował. Sądził że i surowości także uczynił zadosyć.

— Pozwoliłeś pan oskarżonej, którą pod strażą kazałem dostawić, samej do mnie przybyć..

Porucznik odparł żywo, że dodał jej eskortę z trzech grenadjerów.

Major posiniał z gniewu.

— Ta pani najlepiej sama na to odpowie, zawołał i wszedł z porucznikiem do pokoju, gdzie wdowa się znajdowała.

— Ten pan utrzymuje, rzekł do niej, wskazując na porucznika, że przysłał panią tutaj w towarzystwie trzech grenadjerów.

Wdowa odrzekła z zimną krwią:

— Nie wiem prawdziwie, jaki by cel ta eskorta mieć mogła, jeżeli ja z własnej chęci tutaj podążyć chciałam...

— Pani, wybuchnął porucznik, chcesz chyba drażnić się ze mną. Czyż nie oburzałaś się jeszcze na mnie za to, że obok ciebie owych trzech grenadjerów posadziłem?!

— Gdyby tak istotnie było, nie miałabym żadnej przyczyny tego zapierać. Owszem zaręczam panu, że w takim razie skargę bym o to zaniósła tutaj przeciw niemu.

— Ależ klę się moim honorem, że prawdą jest tylko to, co ja mówię.

— Jeżeli oboje toż samo i uparcie powtarzać będziemy, nikt nie rozstrzygnie, kto z nas istotnie prawdę mówi. To pewna, że przybyłam tu sama. Jeżeli zaś pan twierdzisz, że przysłał mnie w towarzystwie trzech ludzi, najprostszą rzeczą będzie, zawołać tych stróżów moich. Świadeństwo ich będzie nieodpartym dowodem...

— Ci trzej ludzie gdzieś zginęli!...

Wdowa rozśmiała się szydersko...

— Sądę, iż nie zechcesz pan także twierdzić, że pańskich trzech grenadjerów w drodze zamordowała i w rowie obok bitego gościńca ukryła?...

Major przerwał jej w najgwałtowniejszym uniesieniu...

— Odejdź pan, zawołał na porucznika — pańscy trzej grenadjerzy nigdy nie istnieli. Czekaj pana sąd wojenny.

Wdowa bawiła się obojętnie piórem wziętem ze stołu, jak gdyby ta sprawa nie obchodziła jej już wcale.

Gdyby była oskarżyła porucznika, że ją obraził i opowiedziała w jaki rzeczywiste sposób to uczynił, nie pozyskałaby była żadnego zadosyć uczynienia — tak zaś, otrzymała je w zupełności i co więcej utwierdziła w umyśle majora pochlebne przekonanie, że dla przyciągnięcia jej do niego nie trzeba było przymusu. (D. n.)

PAMIETNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Byli i tacy co w higienę nie wierzyli i do samego brali się szampana. Rostbif zaczynał umniejszać się i niknąć. — Szklanka następowała po szklance i rozmowa się ożywiała; było na ten czas o czem gadać; Sejm się agitował, naczelny wódz tracił co raz bardziej zaufanie narodu, towarzystwo patryjotyczne pod prezydencją uczonego Lelewela, który był i członkiem Rządu Narodowego i prezydentem klubu, a przeciw temu Rządowi działał, — krzyczało i potajemnie konspirowało. Wojsko zniechęcone nieczynnością Skrzyneckiego, burzyło się i dawało oznaki nieukontentowania, miasto wrzało jakimś złowrogim zapalem; śpiewy, krzyki, katarynki po ulicach nie ustawały prawie; przeczuwało się zbliżanie jakiejs katastrofy, ale nikt nie był w stanie orzec skąd ona wyjdzie i gdzie się skończy. Więc do gawędy żywej podniecanej szampanem, materji nie brakowało. Zwykle trwała taka sesja do 5. i rozchodzili się wszyscy na obiady, ale czasami przeciągała się do późnej nocy, a na ten czas Henryk Fredro siadał do fortepianu i śpiewał wodwile i romanse francuskie, a najczęściej ulubioną przez Radziwiłła scenę z Ahnfrau Grilpalzera którą na muzykę ułożył; wtenczas z podwójną zawziętością wychylano szklanki, gwar się robił niesłychany. Radziwiłł niegdyś bursz uniwersytetów niemieckich przypominał sobie, że ze mną razem w Berlinie i Jena studjował, nie przyszło mu na myśl że więcej jak 20 lat był odemnie starszy — klekaliśmy przed sobą, zaprzysiegając wierną przyjaźń, aż dopóki czas i fatyga nie przymusiły do zdążania do kwater, co się nie zawsze szczęśliwie udawało.

W pułku lubelskim zaszły zmiany: pułkownik Jaraczewski potłuczony i potratowany w szarży pod Stanisławowem, leżał długo słaby w Warszawie, awansował wyzdrowiawszy na generała brygady; podpułkownik Wierzbicki, który od czasu słabości Jaraczewskiego pułkiem dowodził, awansował na pułkownika dowódcę pułku, ale w ogóle był nie lubiony przez oficerów, major Podhorodynski został podpułkownikiem na miejscu Fredry, który wziął dymisję, Mikołaj Kamiński major oraz dowódca pierwszego walecznego z samej szlachty złożonego szwadronu, jeden z najśmielszych w boju oficerów w armji, ale intrygant, zazdrośnik i niespokojnego zawsze usposobienia, przeniesiony został na podpułkownika do legji litewsko-ruskiej, która wraz z pułkiem 7 ułanów złączona, numer tego pułku przyjęła; kilku poruczników na kapitanów, i tyluż podporuczników a z nimi i my na poruczników postapiliśmy. Ta jednostajność życia że tak powiem beczynnego, zaczęła na końcu nudzić, już nawet sesje u Dyźmańskiego traciły urok; przytem nic się nie styszało w towarzystwach kolegów jak tylko narzekania na nieczynność Naczelnego Wodza. Ten z referendarzem Horodyskim, i kilku innymi mężami zaufania, oddawał się dyplomatycznym korespondencjom i przyczynił się do tego, że Rząd narodowy powysyłał postów do dworów zagranicznych.

Po długim oczekiwaniu przyjechał наконец jeden z postów, Wielopolski z Londynu. Zapo-

wiedziana była nadzwyczajna sesja sejmowa na drugi dzień, na której miał zdawać sprawę ze swego poselstwa. Izba sejmowa i trybuny przepełnione były. Wielopolski bardzo długą, nudną i zawiłą miał mowę, której treści nikt prawie nie rozumiał; to tylko przy końcu *de cette pièce d'éloquence manquée* pojęli, że ani na wpływ Anglii na Moskwę, ani na ich bezpośrednią pomoc rachować nie możemy. Podobne sprawozdanie odebrano także na sejmie od Walewskiego z Paryża, który już nawet do wojska, w którym jakiś czas służył, jako adjutant N. Wodza, nie wrócił. O rezultacie poselstwa do Stambułu, nikt nie wiedział, ani się nawet pytał.

Główna armja wypocząwszy i zreorganizowała się miała przyjść z N. Wodzem na czele, otoczonym świetnym i liczny sztabem po odbytem dziękczynnym nabożeństwie (za co?), do stolicy a przedewszystkiem uczestniczyć w bankiecie przygotowanym na ich przyjęcie w ogrodzie Krasińskich. Czwarty pułk piechoty, cel uwielbienia całej Warszawy i narodu, który pod Ostrołęką wiele stracił ludzi, był w czasie wypoczynku dokompletowany żołnierzami z innych pułków, i we 4 bataljony z dobrą zawsze miną odbył przegląd, przy okrzykach radosnych. Bankiet w ogrodzie trwał do późnej nocy wesoło, a teatr z wolnym wstępem, w którym dawano ulubioną operę Niema z Portici, był przepelniony widzami, którzy po razy kilka przymuszali aktorów do powtarzania stosownych do okoliczności śpiewów. Cała ta parada obmyślana została przez N. Wodza, dla zatarcia nieudanej wyprawy na Gwardję, i chybionego ruchu gen. Jankowskiego, który z przemagającymi po raz pierwszy siłami mógł zniszczyć i zabrać korpus Rydigerę, a swoją nieudolnością, brakiem energii, złem poprowadzeniem całej wyprawy, dozwolił Rydigerowi się wymknąć, i okrył się hańbą. W skutek tego on, gen. Bukowski, Salski i kilku innych aresztowani zostali, a na domaganie się ulicy, pod sąd oddani i w krótko osądzeni i ukarani być mieli. Na drugi dzień po paradzie, tłumy ludu podburzanego przez klub patryjotyczny, zaległy plac przed zamkiem królewskim, gdzie aresztowani zamknięci byli, domagając się z wielkim krzykiem sądu na zdrajców, bo sobie przypomniano, że oprócz wyżej wzmiankowanych generałów, siedziało tam jeszcze kilkunastu o zdradę stanu posądzonych ludzi. Tłumy wrzeszczały, że jeżeli sprawiedliwość do następnej niedzieli nie zostanie wymierzona, oni sami sprawiedliwość sobie zrobią; zapowiadając oraz że w niedzielę się zjedną dla usłyszenia wyroków, co im członkowie Rządu Narodowego z balkonu obiecali.

Przyszła niecierpliwie oczekiwana niedziela. Już od rana wielki ruch panował na ulicach, ale około 10 niebo zaczęło się pokrywać czarnymi chmurami, deszcz ulewny, strumieniami się lał, to ochłodziło tłumy, i już dnia tego, ani kilka dni później żadnej demonstracji nie było; spiskowano tylko pod przewodnictwem księży Puławskiego i Szynglarskiego za pomocą członków klubu patryjotycznego po szynkach i innych podejrzanych dziurach, gdzie się lud złożony z ostatnich warstw towarzystwa schodził, a pijany ze złowrogimi minami i odgrazaniami rozlażił. W parę dni, odebrał Rząd Narodowy doniesienie, że gen. Hartig był komendant twierdzy Zamościa, obecnie nieczynnie w Warszawie siedzący, utrzymuje korespondencję z Dybiczem.

Naczelnny Wódz po tem zawiadomieniu, dał rozkaz adjutantowi swemu, Władysławowi Zamojskiemu, żeby wziął oddział piechoty i do dnia Hartiga aresztował i do zamku odprowadził. Zamojski źle się wywiązał z danego sobie rozkazu bo nie rano ale około 11 dopiero godziny to aresztowanie przedsięwziął. Tłumy ludu dowiedziawszy się o tem aresztowaniu, zebrały się z wielkim krzykiem i zaległy ulicę gdzie mieszkał Hartig, tak że wszelki na niej ruch ustał. Kilka powozów z damami, co tamtędy przejeżdżały ruszyć się z miejsca nie mogły, i służyły ciekawym za rusztowania, tratuującym wylękłe kobiety ażeby jak najwyżej się dostać. Dowiedziawszy się z Henrykiem o takim ruchu na ulicach, z ciekawości, bośmy jeszcze takich zbiegowisk nie widzieli, przedarliśmy się aż do ulicy nabitej pospółstwem i z wielkim tylko natężeniem i użyciem czynnie łokciów i kulaków udało się nam dotrzeć aż do jednego z zatrzymanych koczów, koło któregośmy stanęli. Ruch i krzyk koło tego powozu powiększył się o ile to było podobne; ja patrzę, a tu silny i barczysty Ludwik Stecki w mundurze białym, (był to mundur kozaków, których Stecki swoim kosztem miał wystawić) podpułkownikowskim, z szarfą pasową na prawem ręku jako adjutant Naczelnego Wodza i krzyżem na piersiach, przedziera się z wielkim natężeniem do powozu, wylazi o ile mógł najwyżej żeby się tej scenie przypatrywać. Obok nas stał aktor z teatru Rozmaitości młody, ruchomy, czysty gamin. Steckiego ani on, ani nikt oprócz mnie nie znał, bo dopiero przed parą dniami do Warszawy przybył. Aktor więc zobaczywszy te ozdoby Steckiego zwraca się do ludu: „Patrzajcie! oto nowy sztabowiec Skrzyneckiego, jeszcze go nikt nie zna, jeszcze nigdzie nie był, a już podpułkownik i krzyżem ozdobiony, tratuje lud i nieszczęśliwe kobiety, na latarnię z nim“.

Już się ręce wyciągały z tłumu żeby Steckiego ściągnąć, szczęściem ścisk nadzwyczajny nie dozwalał wolnego ruchu; korzystając z tego wraz z Fredrem porwaliśmy aktora znajomego nam za ramiona a wstrząsnawszy go żeby się opamiętał krzyknąłem na niego: „A wiesz to, że ten co go na latarnię chcesz ciągnąć, jest Ludwik Stecki, o którego czynach wczoraj porozlepiane były plakaty, które dotąd jeszcze wiszą; że on poświęca dla Ojczyzny 13 milionów majątku, że już we Włodzimierzu wydał był na własną rękę wojnę Mikołajowi, że tu swoim kosztem formuje pułk w którego mundurze go widzisz, leż więc jak najwyżej na ten sam pojazd, odszczekaj coś powiedział, bo jeśli by się Steckiemu co stać miało, to cię tu na wylot pałaszem przebiję“.

Wszystkom to wypowiedział z największym pospiechem w okropnej pasji. Nasz aktor nie tracąc czasu, lezie jak małpa na pojazd, tratuje kobiety wrzeszczące i blade, wylazi aż na ramiona Steckiego i z tej trybuny, w największym zapale, opowiada zdziwionemu pospółstwu, zaśluga Steckiego, jego waleczność i poświęcenie bez granic. Tłum chwiejny zawsze jak trzcina poruszona powiewem wiatru, zaczyna wrzeszczeć: „Niech żyje Stecki! niech żyje najlepszy syn Ojczyzny!“ Porywają go na ręce i z ciągłym krzykiem uniesienia i radości podnoszą i podrzucają w górę.

(C. d. n.)

Piosnka siewacza.

Chodzę sobie po ugorze,
Słońca żar nademną:
Rzucam ziarno w imię Boże
Na tę ziemię ciemną.
Chodzę sobie przyspiewuję
Piosnki smutne, hoże —
Może Pan Bóg się zmiłuje,
Że wyrosnie zboże!

Rzucam w ziemię złote ziarno
Pełne, zdrowe, czyste.
Lecz niestety w ziemię marną,
W skiby opoczyste!
Jeśli nie da rosy, Panie,
Dłoń twa wszechmogąca —
Cóż się z moją sieją stanie?
Uśchnie od gorąca!

Może bławat i kąkole
Zamiast żyta wzrosną.
A ja próżno na to pole
Ziarno rzucam z wiosną!
Bo kąkole i bławaty
Różniej rosną zawdy —
Tak jak lube kłamstwa kwiaty
Po nad zboże prawdy.

Może sąsiad zły popsuje
Moje żmudną pracę,
A ja próżno tu pracuję
I czas próżno tracę!
Może — może — lecz któż zdola
Zło przewidzieć jasno? —
Może Bóg te moje ziola
Wolą zniszczy własną?!

Ha! Jeżeli źle ja sięję —
Albo źle to ziarno,
Weź odrazu mi nadzieję
Co ja pieścić marno!
Gniewem swoim spalił to zboże
Ogniem zniszczył to pole —
Niżby miały — wielki Boże —
Wyrosnąć kąkole!

Ale Boże, w twojej opiece
Ludzki los spoczywa,
Więc z nadzieją ziarno mienie,
A serce mi śpiewa:
Oj wyrosnie ziarno moje,
Świat zadziwi wszystkie,
Będzie chwalić imię Twoje
Ludziom da pożytek!

A więc chodzę po ugorze,
Słońca żar nademną
Rzucam ziarno w imię Boże
Na tę ziemię ciemną.
Chodzę sobie — przyspiewuję
Piosnki smutne, hoże —
Może Pan Bóg się zmiłuje,
Że wyrosnie zboże!

Bolesław Czerniewski.

POGADANKI.

IX.

Błogosławieni, którzy nie mają nic do czynienia z teatrem lwowskim, ich bowiem nie nadzoruje żaden komitet, ich nie broni *Dziennik*, nie potępia *Gazeta*. Wiodą żywot spokojny placąc podatki lub popadając w zaległości pod tym względem, i używają w mieście opinii ustalonej, podczas gdy nieszczęśliwi dyrektorowie teatru dziś bywają uwielbiani jako mistrze i koryfeusze sztuki ojczystej, by jutro w tem samym piśmie,

które śpiewało ich chwałę, zejść do rzędu statystów, zdolnych zaledwie grać role lokajskie. Niktby nie uwierzył, jak rychło upadają największe talenta artystyczne, gdyby nas o tem nie zapewniał poważny organ opinii publicznej. Niedawno jeszcze krakowski, a może i warszawski teatr mógł wodę nosić naszemu, dziś już nawet wędrownie towarzystwo p. Iwańskiego przewyższa go o wiele, a wszystko to z powodu ustąpienia p. Stanisława Dobrzańskiego. Oczekujemy tedy z niecierpliwością, by młody ten artysta napowrót wszedł do dyrekcji — da on niezawodnie dymisję całemu teraźniejszemu towarzystwu i sprowadzi do Lwowa trupę p. Iwańskiego, abysmy raz przecie widzieli, jak powinno być grane dramaty i komedje, i jak powinna być śpiewana opera. Znana z estetycznego zmysłu Drohobycz, piastunka sztuk pięknych Kołomyja, Brody nakoniec, owe Ateny lodomeryjskie, wypielegnowały nam Talmów i Garicków, którzy zregenerują scenę lwowską — nowa Rachel, nowa Ristori zawita do nas budką z Buczacza lub inną „okazją“ malomiejską i pokaże się, że najlepszą szkołą dramatyczną jest jarmark w Ulaszkowcach, znany dotychczas tylko z tego, iż wyrabiał najtęższych mężów stanu, rosnących zresztą dziko w tamtejszej okolicy. Nowe to upokorzenie należy się słuszyźnie stolicy kraju — czemu nie zrobiła rewolucji i nie stawiała barykad, gdy p. Dobrzański opuszczał dyrekcję?

* * *

Lwów zawsze odznaczał się niewdzięcznością i niekorzystnie w tej mierze odbijał od Krakowa, tak pełnego pietyzmu dla wszelkiej zasługi. Niedawno właśnie *Czas* zwrócił uwagę na ten charakterystyczny zbieg okoliczności, że w tej samej chwili, kiedy za granicą stawiają pomniki dla Lamartina, Chateaubrianda, Priestleya, Thorwaldsena i Petrarki, także i gród Krakusa kończy piramidę z granitu, wzniesioną na cześć Straszewskiego, założyciela plantacji. Paralela ta była genialną, ale psuło ją nieco spostrzeżenie, że „koloś z granitu wydartego łomom tatrzańskim uwieczniłby był w sposób odpowiedniejszy pamięć jakiego wielkiego zdarzenia historycznego, podczas gdy Straszewskiemu należało postawić świątynię grecką, z jego popiersiem“. Poco ta skromność? Wszak pomysł rozpoczęcia stawiania pomników od Straszewskiego był tak... piramidalnym, że tylko piramida mogła stać się jego wyrazem. Z jej szczytu duch wiejący dzisiaj pod Wawelem spoglądać będzie ze śmiechem politowania na przyszłe pokolenia, gdy będą stawiały posągi Mickiewiczom, Rejtanom i Zygmuntom - Augustom. Świątynia grecka należeć się będzie Lucjanowi Siemienińskiemu, za jego przykład Odysei. W innych wypadkach, wartoby owszem nie porzucić stylu egipskiego, w którym tak trafnie uczczono Straszewskiego. Radziłbym np. przekształcić wieżę pozostałą z ratusza na obelisk, i okryć go od góry do dołu hieroglifami, któremi należałoby przepisać wszelkie plagiaty, przeznaczone do druku w rocznikach Akademii Umiejętności. Tym sposobem przynajmniej, po wiekach nikt nie dowie się tak łatwo, jakich między innymi miawaliśmy uczonych. Dalej u wejścia do sukiennic, naprzeciw „Wencla“, możnaby któremu z tych uczonych postawić pomnik w kształcie egipskiego boga Apisa, ale z opuszczeniem rogów, aby się nie wdzierać w tajemnice rodzinne takimi aluzjami. Przydałby się nakoniec, na jakim wolnym placu Sfinks zadający przechodniom zagadkę tej treści:

Jeżeli centnar kłaków wart dwa złote, ile wartfotel ks. biskupa?

* * *

Popelniono temi czasy, na ten sam Kraków przyozdabiający się z egipską, zamach nowatorski, któremu z wielu przyczyn przyklasnąć trudno. Kilku obywateli podniosło myśl przewzania na nowo niektórych ulic i placów, jak to się stało we Lwowie. Chodziło o to, by dawne i utarte, ale nie nieznaczące nazwy zastąpić historycznymi, ale ułożonymi z francuska, wbrew tradycji miast polskich i duchowi języka. We Lwowie, pozbawionym pamiątek i przez sto lat pokostowanym z niemiecka, reforma ta miała swoje znaczenie, chociaż wypadła wcale niefortunnie, bo nikt nie może oswoić się z nowymi nazwami, zwłaszcza z powodu nieswojskiej ich formy, pomimo swojskiej treści. „Ulica Lelewela“, „ulica Trzeci Maj“, to brzmi bardzo pięknie w pierwszym przypadku, ale w mowie potocznej przyzwyczailiśmy się dawać nazwom ulic formę przymiotnikową, i opuszczać nawet wyraz „ulica“, wskutek czego nowe nazwy są nader niewygodne. Do dziś dnia słyszeć można, że ktoś mieszka „przy Nowej“ albo „Szerokiej“, bo nikomu nie chce się opowiadać długo, że mieszka „przy ulicy Sobieskiego, albo Kopernika“. Największe miasta w Europie zachowują od wieków te same nazwy ulic i placów, nowe nazwy nadawane bywają tylko nowym częściom i dzielnicom, powstającym z biegiem czasu. Pamięć wielkich ludzi lub świetnych zdarzeń historycznych uczcić można w inny sposób nierównie właściwiej. Niema zresztą obawy, by konserwatyzm krakowski zrobił choćby najmniejsze ustępstwo nowatorom, zwłaszcza na korzyść tak rewolucyjnych wspomnień, jak np. nazwisko Lelewela.

* * *

Jak dziwnie powstają, i jak marnują się nieraz wielkie talenty, tego dowodem jest opowiedziany niedawno w dziennikach wypadek, którego ostatni akt odegrał się w sądzie karnym w Tarnowie. Chłopak czternastoletni, syń włościanina, nie umiejący nawet pisać, sniedział z pszenicy i sokiem z jagód kalinowych podrabiał banknoty pięcioreńskie w sposób ludzacy, a przy rozprawie wyrysował ołówkiem portret przewodniczącego, uderzający podobieństwem. Skazano go na trzy lata do domu poprawy i wyrok ten względnie byłby wcale łagodnym, gdyby tylko istniały w Galicji domy tego rodzaju w właściwym słowa znaczeniu. Można jednak mieć nadzieję, że ludzkość władz ochroni tego samorodnego artystę od styczności z niepoprawnymi zbrodniarzami, a nawet, że dane mu będą środki kształcenia swego nadzwyczajnego talentu w kierunku nie tak niezgodnym z uczciwością i ustawami. Trudno zresztą przypuszczać, by sobie zdawał dokładnie sprawę ze zbrodni, którą popełniał: wszak starsi od niego, przy braku wykształcenia, nie mają pojęcia o właściwej naturze pieniędzy papierowych i wyobrażają sobie, że mają one jakąś wartość wewnętrzną bez względu na to, kto je fabrykuje, i że można ich fabrykować ilość dowolną. Kto wie, może właśnie smutny rezultat pierwszych jego usiłowań artystycznych, zwracając na niego uwagę ludzi z sercem, z głową, i z środkami pozwalającymi iść za każdym szlachetnym popędem, wydobędzie talent tego chłopaka z ukrycia i pomoże mu rozwinąć się w spo-

sób chlubny! Wszak tu i owdzie, zdarzają się jeszcze w kraju ludzie, którzy chcą i mogą zrobić coś dobrego....

Jan Lam.

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Tak więc jakkolwiek wiele odkryto, to jednakże więcej jeszcze pozostawało do odkrycia. Rzecz oczywista, że ta żądza wiedzy, która doprowadziła człowieka do obliczenia niezmiernych odległości gwiazd stałych i do poznania ich składu za pomocą analizy spektralnej, nie mogła poprzestać na takim rezultacie. Jakoż zaraz po powrocie M'Clintocka podnosiło w Anglii wielu wpływowych ludzi głos za ekwipowaniem nowych ekspedycji arktycznych tak długo, aż dopokąd ostateczny cel osiągnięty nie będzie, dopokąd każda pięć strefy polarnej nie zostanie poznana i statek angielski nie rozwinie flagi Wielkiej Brytanii na biegunie północnym. Podnoszono słusznie, że doświadczenia zebrane w tylu wyprawach lądem i wodą, statkami i saniami po lodach, w tylu przetrwanych pośród lodów arktycznych zimach, ułatwiają znacznie dalsze wyprawy, pozwalając uniknąć mnóstwa niebezpieczeństw i błędów, i postępować z świadomością i pewnością w wielu takich wypadkach, w których poprzedni podróżnicy tylko hazardowne robili próby. Dla tem większego zainteresowania rządu w tej sprawie zwracano uwagę, jakie korzyści przynoszą takie wyprawy w ogóle całej marynarce. „Podróże w celu robienia odkryć w strefie polarnej — pisał jeden z dzienników angielskich — są najlepszym i najkorzystniejszym zajęciem dla naszych marynarzy w czasach pokoju. Podnoszą one bowiem całą marynarkę, gdyż są niezerównaną szkołą do wykształcenia tych wszystkich przymiotów i zdolności, które stanowią najwyższą zaletę marynarza. Jeżeli nasi oficerowie marynarki celują zawsze i wszędzie odwagą i pewnością siebie, stanowczością w działaniu i zachowaniem zimnej rozwagi w najtrudniejszych nawet okolicznościach, to zawdzięczają oni to jedynie przejściu twardej szkoły w lodach polarnych“. W takim samym duchu przemawiały i pisma specjalne Stanów Zjednoczonych: „Nasze floty nie są jedynie dla wojny! — pisało jedno z nich. — Mogą one i w czasach pokoju dobijać się zwycięstw i to świetniejszych nad wszelkie tryumfy wojenne. Najwznioślejszym zadaniem marynarzy są wyprawy w nieznaną stronę polarnego świata, aby odkrywać tam nowe morza i lądy, które wzbogacają naukę, okrywają sławą narody, a blaskiem korony. Takie wyprawy są warunkiem powodzenia i wzrostu potęg morskich“. Z mniej szczytnych pobudek, ale nie mniej głośno gardłowała za wyprawami arktycznymi i teraz cała rzesza kupieckich kompanij rybackich, których statki wyzyskiwały każdą nowo odkrytą drogę i zatokę oceanu arktycznego, a to tem skwapliwiej, że te nowe tonie wypłacały się zawsze prawie nierównie obfitszym połowem, niż dawniejsze, z których wypłoszone ciąglem niepokojeniem wieloryby w coraz północniejsze usuwały się strony. Tak na morze Beringa, na którym pierwszy amerykański statek rybacki pojawił się w r. 1848, przybyło już w roku następnym 154 statków na

połów wielorybów i wyłowilo zeń w przeciągu dwóch lat około 9 milionów dolarów za tran i fiszbin, tj. jak stwierdził ówczesny minister marynarki amerykańskiej, o wiele większą sumę, niż przyniósł Stanom Zjednoczonym w tym czasie cały ich handel morski ze wschodem. Ale nie tylko bezpośrednio w tej sprawie interesowani, lecz owszem opinia publiczna całego cywilizowanego świata, nie wyłączając nawet i takich krajów, które żadnych nie mają związków z morzem, zajmowała się żywo kwestją polarną. Ekspedycje Franklinowskie bowiem zajęły takie wzniosłe stanowisko, takim opromieniły się urokiem i taką wzbudziły ciekawość, że śmiało można powiedzieć, żadna gałąź literatury geograficznej nie zjednała sobie w nowszych czasach takiego rozpowszechnienia we wszystkich prawie kołach czytelników, jak właśnie opisy podróży arktycznych. Bo też istotnie nie masz w świecie nic wspanialszego nad walkę człowieka z przyrodą o wydarcie jej najskrytszych tajemnic. Walka ta tem jest wznioślejszą, im większe przeszkody ma do przezwyciężenia i im mniej przyśmiewają widoki materialnych korzyści szczytne jej cele naukowe. A właśnie wyprawy polarne są pod tym względem nieprzeżyższone. Każdy z tych ludzi co w kruchych łupinach idą narażać się na tysiączne niebezpieczeństwa w lodowe pustynie polarne, mierząc się co chwila oko w oko ze śmiercią, a to wszystko tylko dlatego, aby dorzucić kilka nowych szczegółów do skarbnicy wiedzy, aby kilku nowymi kreskami i punktami zapłacić próżne dotąd miejsca na mapie, i za całą nagrodę trudów związać z niemi swoje nazwisko — urasta w bohatera i wymusza cześć i podziwienie.

Admiralicja angielska jednakże, jakoby znużona wysileniami ostatniego okresu, okazała się głuchą na wszelkie nalegania i odrzucała stanowczo przedkładane jej plany nowych ekspedycji polarnych. Ale podczas kiedy rząd Wielkiej Brytanii zamknął tak szczodłą dotąd dla wypraw arktycznych dłoń, nie przestało ze szkockich portów Dundee i Peterhead wypływać corocznie 8 do 10 statków parowych na połów wielorybów, które zasługiwały się i geografji nie jednym odkryciem, a równocześnie nie zaniechały i inne narody rozpoczętej w tym kierunku pracy, grożąc pozbawieniem Anglii pierwszeństwa i przyśmieniem tej sławy, jaką się jej flaga na tem polu okryła.

Pomijając krótką wyprawę francuską na statku „Recherche“, zasługującą przedewszystkiem na wymienienie ponawiane z niezmordowaną wytrwałością, ekspedycje arktyczne Szwedów i Amerykanów, które rozpoczynają ten nowy, ostatni okres w historii podróży i odkryć w świecie arktycznym.

Szwedzkie ekspedycje różnią się pod pewnym względem stanowczo od dawniejszych angielskich. Nie rozrządzały one tak znacznymi środkami i dlatego nie mogły sobie zakreślać zbyt rozległych planów, ani odważać się na zimowanie w lodach polarnych. Ale zato pod względem naukowym były one tak wykwapowane, jak żadna z dawniejszych wypraw, i też zgromadziły niezmiernie bogate materiały geologiczne, zoologiczne i botaniczne, które do dzisiaj jeszcze w zupełności opracowane nie zostały. Pod względem nautycznym i ściśle geograficznym będą angielskie ekspedycje arktyczne jeszcze

przez długie lata nieprzewyższonym wzorem energii, odwagi i wytrwałości, ale pod względem wszechstronności i gruntowności badań naukowych należy się niezaprzeczenie pierwszeństwo tym najnowszym ekspedycjom szwedzkim, chociaż one wszystkie razem po dzień dzisiejszy nie kosztowały nawet dziesiątej części tego, co Anglja na wyprawy Franklinowskie wydała. Twórcami ich byli Oto Torell i osobno w tym celu zawiązany komitet szwedzkiej Akademji umiejętności, a polem działania Spitzbergen i okoliczne morza. W przeciągu lat dziesięciu od r. 1858 zwiedzili Szwedzi cztery razy te strony, składając w rezultatach swych prac świetne dowody tego, co zdziałać mogą nawet najskromniejszymi środkami wyprawy arktyczne, jeżeli posiadają odpowiednie siły naukowe i należyte kierownictwo*).

Amerykańskie ekspedycje tymczasem wiązały się ściślej z wyprawami Franklinowskimi, rozszerzając poczynione przez nie odkrycia w północno zachodniej stronie. Dwaj szczególnie podróżnicy położyli na tem polu znakomite zasługi i okryli się głośnie sławą: dr. Hayes i Hall.

Niezmordowanym usiłowaniami dra. Hayes, który jako lekarz okrętowy brał już udział w wyprawie dra. Kane, powiodło się za pomocą towarzystw naukowych uzyskać środki do nowej ekspedycji arktycznej. W r. 1860 odpłynął on w towarzystwie astronom Sonntaga na statku „United States“ z Bostonu, zmierzając najprzód do osad holenderskich na zachodnim wybrzeżu Grenlandji: Pröven i Upernavik. Zabrawszy ztamtąd tłumacza, kilku Eskimosów i 36 psów zaprzęgowych, dotarł Hayes szczęśliwie do sundu Smitha, ale dalej dla zbitych ławic i gór lodowych posunąć się nie mógł i musiał się urządzić na zimę w porcie Foulke powyżej 78° póln. szer. Ztąd przebił on się saniami 18 mil w głąb lądu Grenlandji po jej olbrzymich lodowcach, i zwiedziwszy port Rensselaer, gdzie niegdyś Kane zmuszony był zostawić w lodach swój statek „Advance“, wybrał się pieszo w podróż na północ przez rozmarzniony sund do ziemi Grinnella, wioząc na dwóch saniach zapasy żywności i czółna żelazne. Podróż po spiętrzonych ławicach lodowych była tak uciążliwą, że Hayes zmuszony był porzucić czółno, odesłać napowrót do statku 9 ludzi i tylko z trzema najodważniejszymi dotarł do przylądka Hawks, gdzie odkrył cieśninę, zwracającą się na zachód, a noszącą teraz jego nazwisko. Posuwając się dalej wybrzeżem ziemi Grinnella stanął d. 18. maja 1861 u północnej jej kończyny pod 81° 35' póln. szer., którą nazwał przylądkiem Lieber. Wyżej ku północy nie mógł iść, gdyż lód moszczący cieśninę lady Franklin był za słaby i w niektórych miejscach przebijała się już woda, a dokoła nie było nigdzie widać lądu, tylko daleko na północy, w pobliżu 83° rysował się we mgłach szczyt jakiejś wysokiej góry, której Hayes nazwę przylądka Union nadał. W przekonaniu, że dotarł do wybrzeży otwartego morza polarnego powrócił Hayes w październiku tegoż roku do Bostonu, gdzie ogłosił opisanie swojej podróży pod tytułem „Otwarte morze polarne“.**)

(C. d. n.)

*) Die schwedischen expeditionen nach Spitzbergen u. Bären-Eiland ausgeführt in d. J. 1861, 64, u. 68 unter Leitung v. O. Torell u. A. E. Nordenskiöld. Aus dem Schwedischen v. L. Passarge. Jena. Costenoble 1869.

**) Dr. I. I. Hayes. Das offene Polar-Meer. Gera 1874.

MOI SYNOWIE WIKTORA HUGO,

przekład

WLADYSŁAWA ORDONA.

I.

Pewien człowiek żeni się młodo: on i jego żona mają razem lat trzydzieści siedem. Bogacz w dzieciństwie, ujrzał się ubogim w młodości: mieszkał w pałacach niegdyś, dzisiaj żyje prawie na poddaszu. Ojciec jego niegdyś jeden z pogromców Europy, obecnie jest jednym z rozbójników loarskich. Upadek, ruina, ubóstwo. Ów człowiek, mający lat dwadzieścia, uważa to za rzecz zupełnie prostą i pracuje. Praca wywołuje miłość, miłość tworzy małżeństwo. Miłość i praca dwa najlepsze punkta wychodnie dla rodziny. I on do niej dochodzi. Ma dzieci. Z powagą patrzy na tę zorzę swojego szczęścia. Matka karmi dziecko, ojciec karmi matkę. Więcej szczęścia wymaga więcej pracy. Przepędzał dni całe przy robocie, teraz przepędzać będzie i noce. Co robi? Mniejsza co. Cokolwiek. Życie jego twarde, ale miłe. Wieczorem, przed rozpoczęciem pracy trwającej do świtu, kładzie się na ziemi, a mały drapieżnik się nań, śmiejąc się, śpijąc, igrając i szczebiocząc. Czorocho: dwóch chłopców i dziewcząt dwoje.

Mijają lata, dzieci rosną, człowiek dojrzewa. Przy pracy przyszedł do niejakiego dostatku. Mieszka wśród cienia i zieleności przy Polach Elizejskich. Tam odwiedza go kilku pracowników ubogich jak on: stary pieśniarz zwany Berangerem, stary filozof zwany Lamennais, stary bannita, zwany Chateaubriand. Tak żyje w tym schronieniu, wyobrażając sobie, że Pola Elizejskie to samotnia, z góry skazany na doświadczenie później prawdziwej samotni. Jeśli się przysłuchuje, słyszy tylko śpiewy. Pomiedzy drzewami a nim: ptaki, pomiedzy ludźmi a nim: dzieci.

Matka uczy dziatwę czytać, on pisać. Nie raz pisze w tym samym czasie co i one i na tymże samym stole; one kreślą abecadło i laski, on co innego — i podczas gdy wyciągają powoli i z powagą alfabet i laski, on zapelnia szybko białą kartę. Pewnego dnia, młodszy chłopiec, czteroletni, przerywa swoją pracę, kładzie pióro, spogląda na piszącego ojca i odzywa się don: „To zabawne! jak się ma małe ręce, pisze się wielkie litery, a jak się ma wielkie ręce, całkiem drobnitko się pisze.“

Po ojczenauczycielu następuje kolegium. Ojciec jednakże stara się łączyć rodzinne życie ze szkolnem, uważając, że dobrze jest, jeżeli młodzieniaszki jak tylko można najdłużej pozostają dziećmi. Nadchodzi z kolei dla tych małych rok dwudziesty, wówczas ojciec jest już dla nich niby starszym bratem. Młodość bowiem kończąca się i młodość poczynająca bratają się ze sobą i to łagodzi melancholję pierwszej a miarkuje entuzjazm drugiej.

Dzieci te stają się ludźmi, i wówczas pokazuje się, że są to duchy. Jeden, pierwotny,

jest to duch rzeński i silny, drugi starszy, łagodny i poważny. Walka postępu żąda inteligencji dwojakiej natury: silnych i łagodnych. Pierwszy z młodzieńców podobny więcej do zapaśnika, drugi do apostoła. Ojciec się nie dziwi, że znalazł się z nimi na równi, i w istocie, jak to już powiedziano, uważa ich tyle za braci, ile za synów. I oni za przykładem jego uczciwie zapatrują się na swoją młodość. Widząc jego pracę, pracują także. Nad czym? Nad stuleciem swoim. Pracują nad rozjaśnieniem zagadnień, uspokojeniem duchów, oświeceniem sumień, nad prawdą, dla wolności. Pierwsze ich prace spotyka nagroda, wczesnego odznaczenia się dorabiają: jeden sześciu miesięcy więzienia, za walkę przeciw rusztowaniu, drugi dziewięciu miesięcy za obronę prawa schronienia. Zapiszmy mimochodem: prawo schronienia jest w nielase. W jednym z sąsiednich krajów panuje zwyczaj, że minister spraw wewnętrznych ma syna zajmującego się organizowaniem band, przeznaczonych do napaści nocnych na stronników prawa schronienia. Jeżeli syn nie poradzi jako bandyta, ojciec poradzi jako minister i kogo zabić nie potrafili, wypędzają. W ten sposób społeczeństwo bywa ocalanem. We Francji, w 1851, ażeby przywieść do opamiętania obrońców zwyciężonych i wygnanców, nie uciekano się do kamienowania ani wypędzania, poprzestawano na uwięzieniu. Obyczaje rządów różnią się od siebie.

Dwaj młodzieńcy idą do więzienia, nie pozostają tam jednak sami, ojciec osiedla się prawie przy nich: robi sobie z Conciergerie dom własny. Ale i jego kolej także nadchodzi. Zmuszają go do oddalenia się z Francji, dla przyczyn, które gdyby tutaj wspomnieć, zamąciłaby się cisza tych kartek. W tem wielkiem załamaniu się wszystkiego, jakie zaszło w owej chwili, początki dostatku zdobyte jego pracą, rozsypują się; musi zacząć na nowo, a tymczasem odjeżdżać musi. Odjeżdża. Oddala się zimową nocą. Deszcz, zawierucha, śnieg, — dobra praktyka dla duszy, z przyczyny podobieństwa zimy do wygnania. Nic nie szkodzi, gdy chłodnemu spojrzeniu obcego towarzyszy niebo chmurne — serce ztąd zaczerpuje hartu na przyszłe próby. Ten ojciec oddala się na los szczęścia, przed siebie, po pustej ławicy piasku, przez wybrzeże morskie. W chwili gdy wychodzi z Francji, synowie jego wychodzą z więzienia. Szczęśliwy zbieg okoliczności. Mogą iść za nim: on dzielił ich więzienną celę, oni spieszą dzielić jego samotnię.

(C. d. n.)

FRANCJA DZISIEJSZA pod względem literackim i artystycznym.

Rzecz dla „Tygodnia“ napisana

przez

J. PICARD'A.

Francję nawiedziła niedawno najstraszliwsza klęska, jaka tylko na naród spaść może: wojna z cudzoziemcem i wojna domowa.

Co się działo z literaturą w chwilach tych ciężkich doświadczeń? gdzie należy szukać znamion genjuszu francuskiego, natchnienia Corneille'a, sarkazmu Woltera, wesołości Rabelais'go, logiki Paskala, dowcipu J. J. Rousseau i Dide-

*) Rozprawa niniejsza, umyślnie dla „Tygodnia“ napisana przez znanego pisarza francuskiego, pojawia się tu w przekładzie Wł. Górskiego. (Prz. Red.)

rota, nauki Montesquieu'go? W czasach podobnych wstrząśnień znamiona te wszędzie są rozprószone: na trybunie, na ulicy, na wałach; w tajemniczych głosach wołających przed tą szaloną wojną na cesarstwo: „Ostrożnie!“, w okrzykach wyzwalającego się ludu, w jękach najebranej Francji; w proklamacji Wiktora Hugo do Niemców, w buletynach ministra Gambetty. Literatura jest na ścianach domów, w odezwach wzywających lud do broni, w dziennikach rewolucyjnych poruszających masy i wiodących je do walki. Jednym słowem jest to baterja artylerji, rozkaz dzienny jenerała.

Czem była literatura za czasów pierwszej rewolucji, gdy Francja powstawała, by stawić opór najeźdźcom, gdy rzucala czternaście armij na swoje granice, odpędzając zewnętrznych nieprzyjaciół, Austriaków i Anglików, Moskali i Włochów? Był nią Danton piorunującym głosem wołający z trybuny: „Odwagi! odwagi!“ były to odezwy Marata, attyckie pomysły Desmoulina, zimne i ponure słowa Robespiera, lub St. Juste'a; były to dzienniki „Père Duchesne“, „Vieux Cordelier“, proklamacje do armji, rozkazy dzienne. Był to nakoniec „Le chant du départ“ Józefa Chenier i „Marsyljanka“ Rougeta de l' Isle.

W takich chwilach wojen i zaburzeń lekka i płocha literatura nie odzywa się; poeci z profesji osłaniają krepą swą lirę i gdy działa przemawiają, piśmiennictwo zachowuje milczenie.

Pomimo to wszakże duch francuski nie abdykuje; odnaleźć go można w artykule dziennikarskim, w śpiewie, w odzie satyrycznej. W roku 1870 wyśpiewuje on upadek cesarstwa, wydrwie wa pierwszą bombę pruską uderzającą w Panteon. Francja wydająca wściekły krzyk rozpacz na tyle porażek i wstydu, podczas bitwy jest w dobrym humorze. Podczas oblężenia Paryża spada cała lawina karykatur, i ulewa dzienników humorystycznych. Na bombę chętnie odpowiadało kalamburem.

Co do sztuki, to ta okrywa się zasłoną. Pracownie zamykają się, malarz i rzeźbiarz chwytają za karabin; malarz Regnault ginie pod murami Paryża; układają się obrazy historyczne dla przyszłości. Kto odmaluje ów ponury Paryż umierający z głodu w kręgu ognistym? Są to Ateny bastjonami okolone. Miasto będące środkiem artystycznym punktem całego świata, mistrzem smaku, z którego wychodziło hasło mody, dokąd cudzoziemcy artyści przybywali po uznanie swego talentu, przez pięć miesięcy odzielone jest od reszty świata.

Czy sztuka miała nabrać nowego hartu wśród tych doświadczeń? czy powinna była skorzystać z tych przewrotów, otrząsnąć pracę przeszłości i wyjść czystą i odrodzoną?

Ażeby zdać sobie z tego sprawę, dość przypatrzeć się temu, co się dzieje obecnie.

Powierzchniowo wszystko powróciło do dawnego, uśmiechniętego spokoju. Teatry znowu otwarte, zbytek wszedł w dawne swe prawa. Powoli salony zapelnily się wczorajszymi zbiegami, dzisiejszymi bohaterami. Poczęto zapytywać, jak stoimy z modą? Jaki jest ostatni romans Belota? Co nowego da nam Offenbach? Niegodziwa wojna przerwała w moim dzienniku romans tak zajmujący! Ale wojnę tę prędko zapomniano; zaledwie kto pamięta o tem, że wydarto dwie prowincje i nie czuje się już żalu do tych, którzy tyle klęsk spowodowali. Zapłacono co się należało — kilka miliardów! Czuje się wprawdzie pewien żal, ale to do tych warto-

*) Podajemy tu czytelnikom naszym najświeższy utwór genialnego autora „Nędzników“. Utwór ten, jak wspomnieliśmy już o tem w poprzednim numerze, zrobił głębokie wrażenie w Europie całej i rozgłosnem echem odbił się po wszystkich dziennikach. Pospieszamy więc zapoznać z nim czytelników naszych, w pierwszym i jedynym dotąd przekładzie, dokonany przez pisarza, zaprzyjaźnionego ściśle z charakterem i stylem genialnego pustelnika z Jersey. (P. R.)

Piśmiennictwo polskie.

(O prawach kobiety — napisał Edward Prądzyński. Warszawa, 1873.)

główni, którzy wzniesli wojnę domową. Dla nich ani pontony nie są dość czarne ani zamorskie kolonie dość odległe. Pracowni malarskie na rozcień otworzyły swe podwoje; zawsze widzieć tam można owe miłe błahostki tak lubione za cesarstwa. Literatura? Figaro taki śmieszny: daje ostatni kalambur Wiktora Hugo, i tak dzielnie naciaga uszu sankiulotom. W niektórych towarzystwach robią się zakłady czy będzie monarchja czy republika, gdyż na zgromadzeniu narodowym jeszcze podobno ciągną się rozprawy o tych drobiazgach. Tymczasem mamy bale w pałacu prezydenta i niewielu to obchodzi czy honory robi tam Thiers czy Mac-Mahon. Kto został zwycięzcą na ostatnim torze? Słychać skargi na stan obłąkania, ale właściwie zawadza on tylko niektórym gadatliwym dziennikarzom. Niech no budowniczy Garnier pośpiesza z ukończeniem gmachu Opery, gdyż dawniejszy zgorzał!

Jednym słowem, co to było? senne przywidzenie...

Taką jest społeczność francuska, trzymająca berło gustu, wyrokująca o wartości książki, obrazu, utworu dramatycznego. Poeta powiedział: „Terazniejszość jest smutna, przyszłość pogodna“. O Francji niema co rozpaczować. Ma ona jeszcze do zwalczania wroga — nie zewnętrznego ale wewnętrznego. Trzeba mieć nadzieję, iż więcej okaże się silną w tej wojnie aniżeli w tamtej. Wrogiem tym jest niezdrowa tradycja, spuścizna po dwudziestu latach cesarstwa. Na drugi dzień po zamachu stanu cesarstwa potrzeba było by kraj zapomniał się w roszkasy i płochych rozrywkach, choćby miał wycieńczyć się wśród zepsucia. Tłumiąc wolność, otwiera ono pole wszelakim pożądlivościom, żądom i chorobliwym ambicjom. Prasę polityczną zmuszono do milczenia, zaprowadzając natomiast prasę tolerowaną dla zabawiania kraju. Młodych ludzi, ogołoconych ze zbawiennej ambicji, wprowadza się i wtajemnicza w świat nowy, w nową rodzinę, która pozbyła się surowości rodziny dawnej. Z tamtąd młodzież przechodzi do buduarów półświata. W literaturze wczoraj zrodzonej wydrwiwa się wszelką pracę poważną i myśl szczytniejszą. Tym sposobem książka stała się współnikiem cezaryzmu; wielkie kwestje ekonomji politycznej, dzieła filozofów zarówno poważnych jak i utopistów nie zajmowały już. Jakaż była różnica między Proudhonem a apostołem Janem Journet? A dla cierpiącego ludu, dla utrzymania pauperyzmu czyż nie było biór dobroczynności? Cesarzowa taka dobra. Już Marja Antoineta powiedziała: „Jeśli lud niema chleba, to niech je briosze“. Książka zatem, chcąc podobać się takiej społeczności ześliznęła się od swawoli do erotyzmu. Od „Fanny“ do „Mojej żony, panny Gerard“ jeden krok tylko.

Z innej strony, w malarstwie rychło poszedł w zapomnienie wielki a surowy Delaroche; poczęto zachwycać się chińszczyznami Girarda. Posagi Dawida d'Angers zastąpiono statuetkami pana Carrier-Belleuse. I tak we wszystkim.

Zapytywałem czy należy rozpaczować? Nie, ten wewnętrzny nieprzyjaciel, ta zdrobniałość, jałowość, ten smak skrzywiony będą miały swój koniec. Są jeszcze walczący, trzeba mieć zaufanie w nowej generacji, która może opamięta się. Są jeszcze przodownicy: Hugo, Renan, Courbet, Gounod, hr. Delisle, Rochefort i wielu innych.

Zaczekajmy zatem ze sztukami i literaturą, tą gwiazdą i tą orędowniczką wolności. Ale przejdźmy do szczegółów. (D. c. n.)

Jedynym, wyjątkowym zagadnieniem społecznym, które niema jak tyle innych — obojętnych widzów — jest sprawa wyzwolenia kobiety. Przedmiot ten interesuje zarówno przeciwników jak zwolenników i to tak dalece, że wywołuje walkę gorącą. Walka ta wydała już rezultaty i to nie tylko na polu teorii, budząc do myślenia, ale i w życiu, jakkolwiek tu, widne dopiero „ślady“ usiłowań, które poczynając od reformy w wykształceniu i wychowaniu kobiety, mają postawić ją na stanowisku, jakie zająć powinna.

Każda myśl nowa, zdążająca do przeobrażenia najkorzystniejszego stosunków społecznych, wywołuje starcie, walkę. To też i dzieło dotyczące tak jeszcze nowego przedmiotu, nie może być oceniane według pewnej rutyny, gdzie zwykle idzie o wykazanie braków jego lub zalet. Z natury rzeczy rozbiór dzieła tej treści musi przybrać charakter dwójaki: 1.) polemiczny, jeżeli sprawozdawcą jest przeciwnik równouprawnienia kobiety; albo 2.) krytyczny tylko do pewnych granic, jeżeli sprawozdawcą jest zwolennikiem wyzwolenia i pisze się zupełnie na zasadę, a nie zgadza jedynie co do niektórych szczegółów. Na drugim sposobie przedstawienia rzeczy zyskuje bez wątpienia czytelnik, gdyż sprawozdawca musi tu być bardziej przedmiotowym.

Dzieło p. Prądzyńskiego „O prawach kobiety“ wyszło w czasie najgorętszego ścierania się zdań zwolenników, jakoteż przeciwników równouprawnienia kobiety, i śmiało twierdzić można, że pojawieniem się swego zdolne jest położyć kres walce podjazdowej, a zwrócić na drogę pracy w tym kierunku, choćby zrazu gorączkowej, to jednak pewnej już swego celu. Jedni bowiem jak drudzy, to jest tak zwolennicy jak przeciwnicy wyzwolenia kobiety — dla braku dostatecznych studjów nie nad księgą martwą, ale nad księgą życia rzeczywistego — bronili niejednokrotnie i bronią i słowem i piórem swych zapatrywań, jak im jedynie uczucie ich podyktowało. Tego wszakże za mało. Uczuciem tem należało objąć nie jeden stan społeczny, należało mieć na oku nie jedną chwilę życia, ale sięgnąć do głębi, ocenić bole i rany całego społeczeństwa i wówczas dopiero, z pobłażliwością dla ciemnych, z miłością dla ogółu, przemówić doń z rozwagą w imię tych wszystkich świętości, które stanowią podwalinę rodziny i narodu.

Taką właśnie pracą gruntowną i wyczerpującą oddaje p. Prądzyński usługę nieocenioną społeczeństwu i literaturze polskiej. Po ukazaniu się dzieła tego nie godzi się już nikomu u nas wydawać sądu o tym przedmiocie, bez przestudjowania rzeczoności dzieła, nie godzi się zaś szczególnie tym, którzy pisząc o równouprawnieniu kobiety, pragną go, lub myśla czynnie wystąpić. Dzieło to musi wyrzucić wpływ niepośledni na wyrobienie się opinji u nas w kwestji poruszanej.

Jakkolwiek przytaczanie ustępów z dzieła ocenianego nie wiedzie do celu, a nawet może być niekiedy krzywdą dla całości jego, to jednak przebaczyć nam może szanowny autor, gdy, nim pójdziemy dalej, przywiedziemy słowa jego, stanowiące ofiarowanie tej książki. Tym razem bowiem w treściwem poświęceniu dzieła kobiecie, zawiera się wszystko, czego autor dotknął, rozwinięty w całości. Oto słowa jego na pierwszej karcie:

„Pracy bez zarobku, myśli bez rozwoju, woli bez czynu, zmarnowanym dobrym chęciom, oszpeconej piękności, wyczyszczonej słabości — tęsknym pragnieniem, rzewnym nadziejom, niezasłużonym łzom — opuszczonej żonie, zdradzonej kochance, uwiedzionej dziewczynie: „kobiecie bolejącej“ — autor tę książkę poświęca“.

Autor podzielił pracę swoją na VI działów i siódmy, stanowiący zakończenie. W tak podzielonej pracy traktuje:

1). Jak i dlaczego stawia się zadanie równouprawnienia kobiety?

Jakto, więc w stuleciu naszym, w wieku XIX, który chełpi się zniesieniem w wielu miejscach niewoli, obaleniem korporacji na korzyść jednostki — może być mowa o zależności człowieka od kaprysów drugiego takiegoż człowieka tylko płci innej? Fakta

niestety odpowiadają, że niewola taka istnieje, a z drugiej strony niemniej jaskrawe fakta dowodzą, jak dalece cierpi z tego powodu nie tylko cała polowa druga, płeć niewieścia, ale i całe społeczeństwo.

Fakta te są przedmiotem bardzo sumiennego roztrząsania w dziele niniejszem. Niewola objawiająca się w jakiegokolwiek formie, sprowadza nieuchronnie złe następstwa. Temu skrepowaniu woli, zacieśnieniu rozumu w dotychczasowym wychowaniu kobiety, zawdzięcza Europa prawie cały upadek obyczajów, a i my od tej zarazy nie jesteśmy wolni. Z jednej strony, w sferach zamożnych, coż widzimy? nieopatrzność tylko, lekkomyślność, poniżające kobietę składanie jej holdów, a wyczyszczenie słabości... Z drugiej zaś strony w klasach uboższych, całe zastępy ubogich kobiet, którym nie wystarcza zarobek lichy na wyżywienie, ginących zatem marnie jako istoty głęboko upadłe, wzgardzone i odepchnięte przez społeczeństwo. Nie koniec na tem: w miarę wzrastającej przepaści pomiędzy poziomem umysłowym kobiety a mężczyzny, zmniejsza się liczba małżeństw zawieranych, liczba zatem rodzin, tej podwaliny ustroju społecznego. Tu musimy zwrócić uwagę czytelnika, iż autor jest stanowczym przeciwnikiem wszelkiego rodzaju falansterów. Wychowanie publiczne winno być dopełnieniem nie zaś podstawą wychowania. Dom tylko, rodzina zgodna i przykładowa zdolna wydać prawdziwych obywateli. Jeżeli w dzisiejszym stosunku zależności kobiety, usiłują na nią zrzucić odpowiedzialność w razie jej przewinienia, to potępienie takie dyktuje moralistom chyba egoizm... Bo jakżeż można wymagać „błogiej działalności“ od istoty, którą wyzuto z praw wszelkich, którą wykluczono niemal od pracy produktynnej na podstawie jedynie różnicy płciowej. To bowiem pewna, że nauka dotychczas nie była w stanie wykazać psychicznej granicy uzdolnienia mężczyzny a kobiety. Mnóstwo hipotez tak na korzyść jak niekorzyść kobiety, ale na stanowcze określenie do czego zdolnym jest umysł kobiety, nikt się nie pokusił. Należy zatem wyrok w tym względzie zostawić doświadczeniu i domagać się nie tylko od społeczeństwa, ale i od rządów równouprawnienia kobiety na podstawie trzeźwej, ekonomicznej wolnego współzawodnictwa. Tak stawia autor zadanie równouprawnienia. Że zaś wzniosły ten cel może być dopiętym, nie wątpi autor, wzywa: „by podnieść zdeorganizowany typ rodziny, umoralnić rodzinną działalność mężczyzny, przygotować lepsze duchowe zespolenie się jego z kobietą, i aby to osiągnąć, należy wytworzyć w dziedzinie myśli i obowiązków ściślejszy pomiędzy niemi łącznik; należy rozwinąć umysłową, ekonomiczną i obywatelską działalność kobiety...“ Święte też są słowa autora wzywające mężczyznę: „Staraj się zbliżyć do kobiety potęgą i czystością uczuć!“ a nawzajem i do kobiety: „Aby godnie odpowiedzieć zadaniu, staraj się zbliżyć do mężczyzny dojrzałością umysłu“.

2). Rys historyczny.

W rozdziale drugim, przebiegłszy genezę prawa, które zdobywała stopniowo kobieta w Grecji i pogańskiej Romie, wykazuje autor na jakim stopniu postawiło ją chrześcijaństwo. Ale i tu, pomimo że przez poświęcenie się kobiety jaśniejącej aureolą nowej wiary, podnosi się ludzkość cała z upadku, nie o wiele szczęśliwsza dola niewiasty. Słusznie wytyka autor, iż prawo kanoniczne wyrzekło dziwnie dziś brzmiącą zasadę: „że kobieta nie została stworzoną na obraz i podobieństwo Boga“ i tem zatamowało wszelki dalszy rozwój jej nobywatelstwa. Fatalnem w skutkach swych było to orzeczenie prawodawcy chrześcijańskiego, oparte na prawie pogańskiej Romy. To bowiem wzrosło samodzielnie i mogło odpowiadać stosunkom miejscowym, podczas gdy prawo chrześcijańskie miało objąć różnorodne kraje, obyczaje i potrzeby. Objęło też i położyło zapórę nieprzepartą powołaniu kobiety do współzawodnictwa w życiu publicznym, uczynienia z niej istotnej obywatelki. Ciągłe z okiem w jeden cel utkwionem, przywołuje autor przykłady do czego zdolną była kobieta — o ile wyprzedzała nawet wiekowe zdobycze kierując się poczuciem, jeżeli jej tylko ręk nie krępowano, lub przyzające okoliczności rozkazywały te kajdany nałożone prawem, przesadami tradycyjnymi i uprzedzeniem.

(Dok. n.)

Ze świata muzycznego.

Jesień — to początek artystycznego sezonu w świecie muzycznym, to pora programów, koncertów i rozlicznych projektów jakie sobie rok rocznie nasi miłośnicy sztuki układają na zimę. O ile te piękne nadzieje zostaną spełnione lub nas zawiodą, trudno dziś przewidzieć; zależy to bowiem nietylko od tak zwanych „sprzyjających okoliczności“, które mówiąc nawiasem najczęściej właśnie „niesprzyjają“ się zdają, ale może więcej jeszcze od nas samych. Na teraz więc połóżmy na to znak zapytania, a koniec sezonu najlepszą i najpewniejszą przygotuje nam odpowiedź.

Tegoroczny sezon zaczęliśmy od muzyki kościelnej — i pierwszym objawem, zebranych po letniej przerwie sił artystycznych, było wykonanie śpiewów religijnych w d. 18 października w kościele Śgo Mikołaja przez Towarzystwo Muzyczne i pod kierownictwem dyrektora Mikulego.

Najwznioślejszy ten rodzaj muzyki, tak szerokie otwierający pole nie tylko kompozytorom ale i wykonawcom, u nas w ogóle był dość lekko traktowanym. Już zatem, jeżeli nie dla sławy, sposobności popisu pojedynczych osób, to ze względu na doniosłość wpływu jaki muzyka kościelna wywiera na społeczeństwo, warto byśmy się tem nieco więcej zainteresowali.

Zaprowadzić muzykę kościelną — nadać jej kierunek prawdziwie pouczający i szlachetny, mogący zapoznać publiczność naszą tak z utworami starodawnego Włochów, jakoteż i z arcydziełami późniejszych klasyków, oddziaływać na nią ku obudzeniu zamilowania do dzieł poważniejszych, — było oddawna marzeniem dyr. Mikulego. Do przeprowadzenia jednak tej myśli, dobra wola i gorliwość jednej osoby nie są wystarczające. Najlepsze chęci jeżeli nie zostaną przez ogół poparte, upaść muszą.

Tak było zeszłego sezonu i oby inaczej poszło teraz.

Nie marząc już o drugiej Kaplicy Sykstyńskiej we Lwowie, ani o chórach i takiej kapeli jakimi się szczycą niektóre wielkie miasta europejskie, czyżbyśmy nie byli w możności podnieść i przynajmniej do pewnej doskonałości doprowadzić u nas muzykę kościelną?

Chcielibyśmy widzieć Lwów na stanowisku prawdziwie muzycznego miasta, nietylko pod względem krytycznym ale i produkcyjnym; czasami zdawałoby się nawet, że mamy do tego trochę pretensji, a jednakże długo trzeba czekać zanim się zdobędziemy na wykonanie jakiegoś dzieła większych rozmiarów z lepszym opracowaniem i przy liczniejszym współudziale.

Wystawione w miesiącu maju oratorium Haydena „Cztery pory roku“ przez Tow. Muzyczne dowiodło, że posiadamy dość znaczną liczbę talentów i że na tem polu moglibyśmy coś zrobić — jednocześnie niestety przekonaliśmy się, jak trudno u nas zebrać te siły i jakiej energii a pracy potrzeba dla dyrygującego, aby zwalczyć tysiące przeszkód i rozpoczęte dzieło doprowadzić do skutku.

Zgodzimy się, iż najważniejszymi czynnikami stojącymi tu na przeszkodzie są: rozstrzelanie sił, a ztąd utrudnione stosunki artystyczne, brak pewnej wytrwałości i, kto wie, czy nie brak prawdziwego zamiłowania. W rzeczy samej, z rozmaitych kółek muzycznych (po większej części nie sprzyjających sobie) trudno nam przychodzi zebrać się w jedną całość i pod jeden sztandar tego, któremu nawet i nieprzychylni najwyższe zdolności przyznać muszą; faktem jest także, że o ile gorąco bierzemy się do rzeczy, o tyle zbyt prędko w niej ostygamy — nie łatwiejszego np. nad ogłoszenie nowego programu, który na razie zwabi wszystkich gotowych do poparcia, lecz gdy przyjdzie do przeprowadzenia, zostanie sam wnioskodawca; nakoniec nieregularne uczęszczanie na próby, jakas obojętność a nawet pewnego rodzaju lekceważenie rzeczy, czyż mają dowodzić głębszego zamiłowania w sztuce? Uwagi nasze piszemy ogólnie — nie stosując ich ani do miejsca ani do osób — i raczej tylko jako przestrożę aniżeli nagane.

Obok takich danych, wszelka możliwa energia wszędzie ustaje, tem więcej, jeżeli tu nie idzie o korzyść osobistą lecz o dobro publiczne.... Lekceważenie dobra ogólnego, jest pono wspólną i najcięższą naszą wadą.

Dwie instytucje posiadamy, od których publiczność ma prawo wymagać wpływu na wykształcenie muzyczne, a temi są: Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne i Opera. O ile te instytucje odpowiadają swojemu zadaniu i jakie są warunki ich bytu, aby stać się mogły użytecznymi, to kwestja, która nie powinna zostać dla nas obojętną i którą oddzielnie także pragniemy poruszyć. Lecz nim do tego przyjdzie, dziś podnosimy tylko potrzebę ustalenia na pewniejszym i lepszym gruncie muzyki kościelnej, popartej współudziałem wszystkich talentów. Jeżeli te słów kilka znajdą pożądaną odgłos, możemy się spodziewać, że z czasem Lwów da impuls innym miastom w Galicji — do kształcenia w swych murach muzyki kościelnej. Nic trudniejszego jak zacząć — spróbujmy przynajmniej i dajmy początek rzeczy i chwalebnej i pożytecznej.

Z faktów zaszłych w świecie muzycznym lwowskim notujemy dziś pokrótce: wystawienie oper „Hrabina“ Moniuszki i „L'Elisir d'amore“ Donizettiego — w których p. Jakowicka zbiera oklaski.

W d. 25 paźdź. drugi koncert orkiestrowy Tow. Muzycznego.

W d. 1 listop. mniejsza msza na głosy męskie Gounoda wykonana pod dyrekcją p. K. Kozłowskiego przez Tow. Muzyczne.

Nakoniec d. 8 listop. koncert Tow. Muzycznego na ubogich, pod kierownictwem dyr. Mikulego. W koncercie tym przyjął udział, znany już nam tutejszy barytonista p. Horbowski, odśpiewaniem arji z op. „Straszny dwór“ Moniuszki — romansu z op. „Favorita“ Donizettiego i mazurka kompozycji p. Roguskiego. Po raz pierwszy mieliśmy sposobność słyszeć p. H. produkującego się w koncercie, i powiemy, że jako śpiewak koncertowy o wiele zyskuje. Głos jego delikatny lecz sympatyczny daleko lepiej wydaje się w sali niż na scenie.

Poprzestając dziś na tych kilku uwagach ogólnych, służących nam niejako za punkt wyjścia, do przyszłych naszych sprawozdań z ruchu w świecie muzycznym — mamy nadzieję, że wkrótce będziemy mieli sposobność pomówić obszerniej i więcej wyczerpująco czy to o ważniejszych produkcjach ciał zbiorowych, czy o wybitniejszych osobistościach muzycznych, które prawdopodobnie na widnokręgu Lwowa wkrótce się pojawiają.

Walery Wysocki.

Ze świata naukowego.

LOIKA W PRZYRODZIE

przez
Ludwika Wierzejskiego.

(Dokończenie.)

Wszystkie zjawiska w przyrodzie odbywają się według stałych i niezmiennych prawideł. Przypatrując się tym prawidłom widzimy, iż wszystkie znane nam prawidła dają się ostatecznie sprowadzić do dwóch ogólnych prawideł. Weźmy na przykład prawidła obiegu planet odkryte przez Keplera. Widzimy tu, że prawidła Keplera są wynikiem prawidła powszechnego ciążenia, według którego siła ciążenia działa w odwrotnym stosunku kwadratów oddalenia. Prawidło powszechnego ciążenia zaś polega na tej geometrycznej własności kuli, że powierzchnie kul stoja do siebie w takim stosunku, jak kwadraty ich promieni. Geometryczne własności kul równie jak cała matematyka polegają na kilku pojedynczych aksjomatach, pomiędzy którymi pierwszym jest ten, że każda ilość jest samej sobie równą. To samo cośmy wykazali o prawidłach Keplera, da się także dowieść o wszystkich prawidłach przyrodnych, które zdolano podciągnąć pod rachunek matematyczny.

Z tego się okazuje nietylko że przyroda podlega prawidłom we wszystkich działach, ale także że wszystkie prawidła przyrodne mają wspólną zasadę, czyli raczej że wszystkie pra-

widła są tylko wynikami ogólnego prawidła, na którem polega wszelki byt i wszelkie zmiany w przyrodzie, a tem ogólnym prawidłem, tą jedną z głównych zasad całego istnienia przyrody jest zasada tożsamości i sprzeczności, której treścią jest, że żadna rzecz nie może być tą rzeczą, a oraz także i inną.

Myślenie nasze polega także na stałych normach, których zbiór i systematyczny wykład stanowi naukę loiki. Umiejętność loiki wykazuje nam, że pierwszym prawidłem naszego myślenia to jest rozróżniania, jest prawidło tożsamości i sprzeczności. Nie tylko więc przyroda w swem istnieniu i w swych zmianach, lecz także nasz umysł w swem pojmowaniu i rozróżnianiu polega na tej samej zasadniczej normie.

Spostrzegając zjawiska przyrody i starając się je wytłumaczyć, widzimy, iż zachodzi między niemi pewien związek, tak iż jedno zjawisko bywa zawsze i wszędzie poprzedzonym przez zjawisko inne, to zaś znowu przez inne zjawisko. Takie zjawisko, które zawsze i wszędzie poprzedza inne zjawisko nazywamy przyczyną tego drugiego zjawiska. Chcąc wytłumaczyć to zjawisko, któreśmy uważali za przyczynę następnego zjawiska, natrafiamy często znowu na trzecie zjawisko, tak iż zjawiska przyrodne przedstawiają się jako w pewnym związku zostający szereg. Śledząc dalej ten szereg natrafiamy nareszcie na jakieś zjawisko, które już nie jest żadnem innem poprzedzonym, którego przyczyny już nie możemy znaleźć, a takie zjawisko uważamy jako wynik czynności tkwiącej we wnętrzu przyrody i nazywamy je siłą. Siłę tę uważamy jako przyczynę wszystkich następujących zjawisk.

Widzimy więc, że zmiany w przyrodzie połączone są ze sobą węzłem przyczynowości, czyli że zmiany te polegają na prawidło przyczynowości.

Umiejętność loiki uczy nas zaś, że drugim prawidłem naszego myślenia jest zasada przyczynowości.

Oba prawidła t. j. tak prawidło tożsamości i sprzeczności jak też prawidło przyczynowości są zarówno prawidłami przyrody i prawidłami naszego myślenia. Przyroda i loika polegają więc na tych samych dwóch prawidłach.

Gdy się zastanowimy nad tem, w jaki sposób się to stało, że prawidła naszego myślenia są identyczne z prawidłami przyrody, to widzimy, że ponieważ nietylko ród ludzki od początku swego istnienia, ale także cały szereg pokoleń zwierzęcych, począwszy od zwierząt najniższych gatunków aż do tych zwierząt, które były bezpośrednimi przodkami rodu ludzkiego żył w przyrodzie utworzonej według pewnych prawideł, ponieważ doznawał wrażenia i podlegał ciągle wpływom tej przyrody, więc też władze umysłowe wyrobiły się według tych samych norm, według których jest przyroda utworzona.

Spomnieliśmy już na początku, że niektórzy filozofowie twierdzą, iż prawidła loiki są czysto apriorystyczne, to jest, że nie są wzięte ze świata zewnętrznego, tylko że są ludzkom bez względu na otaczającą ich przyrodę nadane i że są jedynie apriorystycznymi warunkami możliwości poznawania przyrody. Konsekwentnie więc wyprowadzają z tego wniosek, że za pośrednictwem tych prawideł loiki nie można mieć żadnej wiadomości o tem czem rzeczy w samej istocie są, gdyż te ostatnie mogą nam się tylko takimi wydawać jak na to właśnie te prawidła pozwalają. Twierdzenie to jednak nie może się utrzy-

mać wobec teraźniejszej umiejętności przyrodnej gdyż chociaż u żadnego osobnika ludzkiego w teraźniejszości nie wyrobiły się prawidła myślenia, dopiero w skutek doświadczenia i wrażeń doznawanych od przyrody, to jednak u pierwszych pokoleń ludzkich i jeszcze pierwszej u pokoleń zwierzęcych, z których ród ludzki pochodzi, wytworzyły się władze psychiczne wskutek i według tych wrażeń. Te władze psychiczne przeniesione zostały przez dziedziczność na późniejsze pokolenia, zostały utrwalone, a sposób ich działania stał się stałym prawidłem myślenia. To więc co obecnym pokoleniom ludzi jest wrodzonym i wydaje się być czysto apriorystycznym, wzięło swój początek z zewnętrznej przyrody. Wreszcie człowiek jest częścią przyrody tak pod względem fizycznym jak i umysłowym, jako taki utworzonym został według tych samych prawideł, według których także utworzoną została przyroda. Zmiany w przyrodzie odbywają się według pewnych prawideł, więc i zmiany w stanie umysłu ludzkiego jako części przyrody odbywają się według tych samych prawideł. Temi zmianami w stanie umysłu ludzkiego są myśli (wyobrażenia, uczucia itd.), więc i myślenie odbywa się według tych samych prawideł, według których się zmiany w przyrodzie odbywają. Rozum ludzki jest zatem tylko uosobnionym wzrokiem tych prawideł, według których utworzoną jest przyroda, a prawidła loiki równie jak aksjomata matematyki (i punkty zasadnicze prawa i etyki) są tylko wymaganiami tych prawideł przyrodnych. Loika nasza jest więc tak pośrednio jak też bezpośrednio wzięta z przyrody, a jej prawidła są z prawidłami przyrody identyczne.

Wprawdzie za pośrednictwem loiki muszą nam się okazywać rzeczy takimi jak na to prawidła myślenia pozwalają, lecz właśnie ta okoliczność, że prawidła loiki wyrobiły się pod wpływem zewnętrznego świata, na podstawie rzeczywistości i że umysł ludzki utworzonym jest według tych samych prawideł co przyroda, że jest do świadomości siebie doszłą formułą prawidła przyrodniczego, sprawia to, że świat zewnętrzny nie może nam się wydawać innym, jak tylko takim jakim jest rzeczywiście. Wyrobień się więc loiki naszej na podstawie przyrody i przez przyrodę nadaje prawidłom myślenia wartość przemiotową.

Gdyby loika nasza nie miała swego źródła w przyrodzie, w ten czas chyba tylko przypadkiem stałby się było mogło, żeby prawidła myślenia były identyczne z prawidłami przyrody, a nawet w tym ostatnim wypadku t. j. nawet w razie identyczności nie mielibyśmy żadnej gwarancji, że nas nasz umysł nie ludzi; bylibyśmy więc zupełnie uprawnieni do tego, aby cały otaczający nas świat uważać jako pozór, jako złudzenie, aby zwątpić o jego istnieniu a nawet o istnieniu naszem własnem. Że normy myślenia nie są rodowi ludzkiemu jako coś gotowego nadane, lecz że się stopniowo wyrobiły, okazuje się także z tego, że na czem wyższym stopniu rozwoju umysłowego człowiek stoi, tem wyższych w myśleniu swoim używa kategorii loicznych. Ludzie na najniższym stopniu wykształcenia używają zwykle tylko pojedynczych kategorii jakości, i rzadko się zdarza, aby się pytali o powody i przyczyny rzeczy. Umiejętności ściśle idą już dalej, zastosowują one przeważnie kategorie stosunku, a tylko przy zakończeniu swych teorii używają kategorii porządku. Te ostatnie kategorie zaś, a szczególnie kategoria idei są wyłącznie normami rozróżniania we filozofii.

Przyrodę zdołamy tylko dla tego zrozumieć, że jej prawidła są identyczne z prawidłami naszego myślenia. Gdyby loika nasza nie była identyczną z loiką tkwiącą w przyrodzie, lub gdyby jakiś dział przyrody był utworzonym na podstawie innej loiki niż ta, według której my myślimy, tobyśmy w pierwszym wypadku nie byli w stanie ani zrozumieć przyrody, ani jej zjawisk podciągnąć pod obliczenie matematyczne, gdyż matematyka zasadza się na loice; w drugim wypadku zaś ten dział przyrody, któryby był utworzonym na podstawie innej loiki jak nasza, pozostałby dla nas ważną zagadką. W taki sposób przedstawia nam się jeżeli nie rozwiązanie tego problemu, to przynajmniej droga, po której będzie można dojść do tego rozwiązania. Na końcu pozwolę sobie jeszcze z tego wszystkiego com wypowiedział wyprowadzić jeden wniosek.

Prawidła przyrody są wszędzie te same, poznanie zaś tych prawideł jest tylko wtedy możliwem, jeżeli prawidła loiki są z niemi identyczne; jeżeli więc na innych ciałach niebieskich żyją także istoty myślące i zdolne poznać przyrodę i jej prawidła, to także prawidła ich loiki muszą być identyczne z prawidłami przyrody, a ponieważ te ostatnie wszędzie są te same co i na naszej ziemi, więc także ich loika musi być ta sama co nasza. W całym wszechświecie jest zatem tylko jedna loika, t. j. ta, której pierwszym prawidłem jest prawidło tożsamości i sprzeczności, a drugim prawidło przyczynowości.

Jeżeli zaś loika wszędzie jest ta sama, to także wyniki pochodzące ze zastosowania loiki w myśleniu muszą być wszędzie te same. Takimi wynikami są prawdy matematyczne, więc też matematyka jest wszędzie ta sama. Równie jak matematyka muszą też wszędzie, gdziekolwiek w wszechświecie żyją istoty rozumne na tym stopniu rozwoju umysłowego, że mogą się wznieść do wyższych pojęć, także ogólne pojęcia prawdy, dobra i piękna, to jest ideały, być te same co i na naszej ziemi. Ideały prawdy, dobra i piękna przyswiecają więc jak trzy jasne gwiazdy także rozumnym mieszkańcom innych ciał niebieskich w drodze ich życia. Oby to uroczę trójgwieździe nie zasłonięte chmurami przewodniczyło tak każdemu z nas z osobna w ciągu jego życia, jak też całemu naszemu narodowi w jego dziejowym pochodzie na drodze ku coraz większemu doskonaleniu się!

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Wschód, przez W. Koszycza, nakład Rogosza. Lwów. 1874.

Jest to opis podróży pomiędzy Stambulem a Angorą, którą autor odbył w r. 1869 i drukował w odcinku „Gaz. Narod.“. Obecnie w wydaniu poprawnem i nieco zmienionem, stanowiący na stanowisku całkiem oryginalnem, opartem na długoletnich postrzeżeniach i wrażeniach osobistych, podaje obraz kraju pomiędzy Stambulem a Angorą, jednym z najgłośniejszych centrów handlowych i administracyjnych Azji M., który przetrzyną obecnie najważniejszą z projektowanych kolei żelaznych, Stambuł — Bagdad, mającą połączyć bezpośrednio Wschód cały z Europą. Podając opis geograficzny, zwyczaje i obyczaje oraz rysy etnograficzne, wplata pomiędzy nie epizodycznie charakterystykę urządzeń społecznych oraz politycznych tegoczesnej Turcji. Myślą przewodniczącą tej pracy jest nie tylko zaciekawienie zwykłemi opisaniami podróży, lecz nadto wykazanie prawdziwego stanowiska polskiego, w obec państwa i narodu tyłu węzłami żywotnymi związanymi z teraźniejszością i przeszłością naszą.

Większa część miejscowości opisanych, nie była nigdzie dotąd podana w żadnej zagranicznej podróży. Polska zaś literatura opisowa nawet wzmianki o nich nie posiada.

— Gospodarcze stosunki w Galicji, przez Mieczysława Marassę. Warszawa. 1874.

Autor zaczyna swoją pracę od podziału Galicji na strefy gospodarskie, których rozróżnia aż 9; gdyż, jak słusznie twierdzi, Galicja tworzy wprawdzie całość polityczną ale nie geograficzną; mówi dalej o urodzajnej powierzchni, o stosunku ról, łąk i ogrodów, pastwisk i lasów. W rozdziale o większej i mniejszej własności dowiadujemy się, że pierwszych w Galicji jest 7435 czyli 52 na m. kw. własności mniejszych 793.970 czyli 557 na milę kwadratową austr. Ludność i ceny robocizny i w ogóle wszystkie dane statystyczne zebrane według urzędowych źródeł. Według tychże w r. 1810 było ludności w Galicji ku Krakowu 3,086,226 w r. 1857 już w Krakowie 4,597,470 która z końcem r. 1869 wzrosła do liczby 5,416,742. Mówiąc o cenach robocizny przychodzi do wniosku, iż w Galicji zachodniej przez odpusty a we wschodniej przez prawniki a w całej Galicji przez jarmarki i targi pozostanie w tamtej zaledwie 250 dni, w tej tylko 200 dni roboczych. W traktacie o zwierzętach użytecznych obznajmia autor czytelnika z przedniejszymi oborami gospodarzy galicyjskich itd. a to wszystko z gruntowną znajomością rzeczy samej jakoteż stosunków galicyjskich. Rozprawa ta jak niemniej i cała encyklopedia rolnicza, mieszcząca w sobie wszystko, co dotąd postęp w melioracji gospodarstwa uczynił, treściwie zebrane, zaleca się jeszcze bardzo korzystnie jędrnym i jasnym wykładem przedmiotu.

— Pamiętnik dla nauk ścisłych. Tom piąty. Paryż r. 1874.

Tom ten zawiera następujące prace: 1) Perspektywa rzutowa, jako wynik rzutów prostokątnych na płaszczyzny ukośnie względem siebie położone, przez Karola Markowskiego (str. 40). 2) Przegląd krytyczny różnych teorii o ciśnieniu w gazach przez Wł. Gosiewskiego. (str. 16). 3) Nowy sposób obliczania powierzchni wykopów i nasypów, przez Lucjana Wojciechowskiego (str. 48). 4) Śluzowce (Mycetozoa), monografia, część pierwsza przez Józefa Rostafińskiego (str. 216). 5) O obecnym stanie fabrykacji żelaza i stali zapomocą metody Bessemera wraz z jej teorją, przez Stefana Baranowskiego (str. 20) Do tomu zaś IV. są już przygotowane następujące prace: 1) J. Rostafiński. Śluzowce, część druga. 2) K. Brandt, wytrzymałość ciał. Badania analityczne dotyczące sposobu obliczania mostów złożonych z luków metalicznych. 3) F. Rademiński Fosforu ceru i ciała należące do tego działu. 4) Boł. Zajackowski, o równaniu różniczkowem $X dx + X_1 dx + X_2 dx + \dots + X_n dx$ i jego całkowaniu za pomocą jednego równania pierwotnego. A. 5) Martynowski, o ciśnieniu podpór jakichkolwiek budowli na grunt, na którym one spoczywają. 6) M. Girdwojn, Fizjologia i anatomja pszczoły. 7) K. Maszkowski, o perspektywie.

— Wyciąg z regulaminu służbowego dla c. k. armii. II. część (Służba polowa). Dla podoficerów i żołnierzy wszystkich oddziałów wojska. Cieszyn, 1874.

Pierwsza część tego wyciągu wyszła już przed kilku miesiącami. — Kapitan Handel wydał w r. zeszłym część I. regulaminu służbowego; o ile nam się zdaje nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego — dziś nakład cały już wyczerpany. Z przyjemnością witamy ruch książkowy i na tym polu, dotąd prawie u nas nie uprawiany.

Francuska.

— Les naufragés de l'air. L'île mystérieuse, par Jules Verne, J. Hetzel et Coie. Paris, 1874.

Nazwisko Juliusza Verne, jest dziś we Francji i w całym świecie tak głośnie, jak niegdyś Aleksandra Dumasa, chociaż nie pisze on romansów. Verne wzięł sobie za zadanie popularyzować wiedzę, co też czyni w powieściach, w których zamiast intrygi miłosnej, tajemniczości bądź to ciał niebieskich, bądź głębi morskich, bądź wreszcie wnętrza ziemi, do tego stopnia wzię uwagę czytelnika, że od jego utworów oderwać się nie można. Dotąd napisał on już dzieł kilkanaście, o których wkrótce obszerniej pomówimy. *L'île mystérieuse* (Wyspa tajemnicza) jest najświeższą pracą tego genialnego pisarza. Pięć osób podróżujących balonem, który nagle pękł, spada na tę wyspę, opisaną tak pięknie i z taką prawdą, że każdemu zdaje się iż ona musi gdzieś istnieć. Całe dzieło przypomina sławne przygody Robinsona, ale naśladownictwa nie ma najmniejszego. — Życzęby nale-

zało, aby jak najprędzej wszystkie dzieła Juliusza Verne pojawiły się w zupełnej edycji polskiej. Z nich można się bardzo wiele nauczyć — szczególnie rzeczy odnoszących się do nauk przyrodniczych. W tem ostatniem np. czytelnik znajdzie ciekawe wiadomości z dziedziny fizyki i chemii.

— Ryszard Wagner w styczniu 1875 r. urządzi wspólnie z Lisztem wielkie koncerta w Wiedniu i Peszcie. Pierwszy raz w tych koncertach publiczność usłyszy urywki ze „Zmroku Bogów“ i trzeciej części jego Trylogii Nibelungów. Przy tej sposobności zapiszemy tu także nowe dzieło Liszta. Jest to kompozycja zatytułowana „Berceuse dans la tombe“, a poświęcona pamięci sławnej pani Kalergi-Muchanowej, zmarłej niedawno w Warszawie.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Sprawa teatru lwowskiego, znajduje się w stadium wielkiego napięcia. Członkowie teraźniejszej Dyrekcji, pp. Woleński i Hubert chcieli zaprowadzić równowagę w budżecie i jaki taki ład na scenie, ale niektórzy artyści sparaliżowali te zamiary, opuszczając scenę. W następnym numerze będziemy prawdopodobnie mogli coś więcej o tem powiedzieć. P. Stanisław Dobrzański ogłosił także broszurę: „Kilka słów o teatrze“, którą otrzymaliśmy w chwili zamknięcia dziennika. Po przeczytaniu nie omieszkamy zdać sprawy z tej publikacji. Życzyćby należało, aby sąd polubowny, który ma zażegnać rewolucję pałacową, zebrał się jak najprędzej i spór zakończył, gdyż tego rodzaju nieporozumienia fatalnie na publiczność oddziałują.

— Rektor i profesorowie uniwersytetu warszawskiego, zamierzają utworzyć przy tymże uniwersytecie Towarzystwo historyczne.

— W Warszawie zawiązuje się Towarzystwo „Pośrednik“, mające zająć się ułatwianiem handlu między Królestwem a cesarstwem rosyjskiem. Przemysł warszawski do tego stopnia wzniósł się w ostatnich dwóch latach, że bardzo skutecznie może on współzawodniczyć w całym państwie moskiewskiem z przedmiotami z zagranicy sprowadzanymi.

— Wydawca warszawskiego „Tygodnika Mód“ I. K. Gregorowicz rozpoczyna z d. 1. stycznia r. 1875 wydawnictwo książek ludowych.

— W ubogim dziale naszej literatury pedagogicznej pożądaną będzie wiadomość, iż p. Maurycy Kamiński autor: „Kursu geografji“, oraz: „Nauki czytania“ pracuje obecnie nad kursem literatury powszechnej dla młodzieży, która to praca nader pożądana choćby z, tego względu, że literatura nasza zupełnie jest pozbawioną treściwego podręcznika dla młodzieży. Dotychczasowe tego rodzaju dzieła bądź oryginalne (Historja literatury powszechnej prof. Lewestama) bądź tłumaczone (Scherra) podręcznikami pedagogicznymi nazwać się nie mogą i nie są bynajmniej przeznaczone dla młodych wiekiem czytelników.

— Donieśliśmy niedawno, że p. Asnyk (El...y) napisał dramat pt. „Żyd“ Otóż dowiadujemy się teraz, że utwor ten pojawi się jeszcze w ciągu br. na scenie krakowskiej. Autor oddał go już tamtejszej dyrekcji. Spodziewamy się, że i dyrekcja teatru lwowskiego postara się o przedstawienie „Żyda“ w czasie jak najkrótszym.

— Pośród powodzi zagranicznej produkcji powieściopisarskiej, której nastarczyć niemoże łaknącej publiczności prasa nasza, powinna uwagę zwrócić nowelka wydana niedawno w drukarni „Gazety Polskiej“ w odblasku pod tytułem: „Znakomitość.“ — której autor ukrywa się pod dyskrecją litery J. — a wartość tej drobnostki niepospolita. — Wytworny pod względem wykończenia podaje nam autor obrazek życia prowincjonalnego — mnóstwo rysów kunsztownie zgromadzonych, postacie nowelki szkicowane z natury. Autor nie omijał śmieszności ani wad, lecz śmieszność ta nie służy za broń raniącą, lecz przeciwnie zajmuje się nią raczej ze spokojem i pobłażliwością. — O ile nam wiadomo autor wystąpił na polu nowelistyki po raz pierwszy. Debiut zaiste znaczący i pełen pięknych obietnic.

— Dr. med. Bagiński w Berlinie wydał u Denickiego broszurę w celu obrony systemu palenia zwłok ludzkich.

— W Berichte d. deutsch. chem. Gesellschaft,

III. 198 znajduje się sprawozdanie z doświadczeń prof. Radziszewskiego wykazujących, że nitryl kwasu fenylacetowego jest identyczny z esencją rośliny znanej pod nazwą „Tropacolum majus“.

— Z „deutsche Grafenhäuser der Gegenwart“, przez dr. Kreschke dowiadujemy się, że rodzina Bismarków pochodzi z krwi słowiańskiej, serbsko-lużyckiej.

— Dwaj warszawscy uczeni, Dr. Jul. Ochrowicz i Dr. Piotr Chmielowski, napisali po niemiecku filozoficzne rozprawy, pierwszy „Bedingungen des Bewusstwerdens“, drugi zaś „Die organischen Bedingungen der Entstehung des Willens“, które wyszły w Lipsku u Matthesa. Pismo fachowe „Literarisches Contrablatt“, w Nr. 45. z d. 7. bm. ocenia obie te prace bardzo przychylnie. Przy tej sposobności nadmieniamy, że p. Ochrowicz jest redaktorem dwutygodnika „Niwa“ a pan Chmielowski redaktorem tygodnika „Opiekun Domowy“.

— Pośmiertne dzieło O. Theinera „Acta genuina ss. occumenici concilii Tridentini“ wyszło w dwóch tomach w Zagrzebiu, w drukarni akcyjnej. Dzieło to zawiera rozprawy i dokumenty odnoszące się do koncylium trydentyńskiego, które dotąd były umyślnie w tajemnicy utrzymywane.

— W Peszcie wydał p. Antoni Peszek słownik niemiecko-francusko-włosko-hispańsko-angielsko-holendersko-szwedzko-czesko-słowacko-słoweńsko-polsko-serbsko-chorwacko-węgierski. Słownik ten więc służyć może do tłumaczenia z niemieckiego na 13 innych języków europejskich. Z ważniejszych języków rosyjski wypuszczono. O Rumunach zapomniano choć licznie zamieszkują kraje korony Św. Szczepana.

— Dr. Leopold Prove wydał rozprawkę: „Ueber den Sterbsort und die Grabstätte des Copernicus“; i ogłosił drugą w tym kierunku: „Das Andenken des Copernicus bei der dankbaren Nachwelt“. Wyszedł niemniej jego staraniem „Monumenta Copernicana“. Nakoniec Adolf Prove (brat Leopolda) napisał i wydał dramat w pięciu aktach, wierszem pod tytułem „Copernicus“.

— Historja Kija. — P. Real autor historji, skreślił z dowcipem pełnym erudycji znaczenie kija w całym paśmie dziejów u wszystkich ludów świata w ich mitologii, prawodawstwie, obyczajach i zaboobonach. — Pierwszy kij historyczny, to kij wygnana, tulacza Adama, pierwszego człowieka. — Adam używał kija do obrony przeciw nieposłusznym zwierzętom dzikim wprowadzając w czyn aksjomat: „siła przed prawem“. Szczep Kaina rozrodził się potężnie — siła zwyciężyła prawo, odtąd kij zapanował na ziemi, ktokolwiek żył nosił kij, jako wybitne znamie władzy. Wyobraźnia ludów azjatyckich uzbroidła kijem nawet swe bóstwa. Święto słonecznego kija obchodzone w Egipcie, astronomja ówczesnych pojęć używała go do podpierania słońca, Bogowie idealniejsi Greków używają kija. — Kije sławnych bohaterów Homera służą do boju i są znamiem królewskiej władzy. Później, w wiekach średnich, kij stał się symbolem, oznaką siły ducha jako pastorał w rękę biskupów i opatów, jako znamie feudalnej władzy wielkich wassalów koronnych. — Na kogo ten kij spadał najczęściej? oto jak mówi autor, na biednych poetów, którzy tak często przyplacali ostre słowa niemniej ostre razami, że smutne ich losy stworzyły we Francji przysłowie: „Obchodzić się z kim, jak z poetą“ znaczyło to samo co wybić kogo kijem, jak o tem przekonywa chłosta Woltera, którą otrzymał z rąk lokajów na rozkaz księcia de Sully. Od kija groźnego: kary i zemsty przechodzi autor do kija pielgrzymiego, który się później zmienił na owe zabobonne, czarodziejskie laski z siłą cudotwórczą. Literatura wzbogaconą została przysłowiami o kiju jako to: Nauka kijem żywota — Silnemu wystarczy kij krótki — Szlachcie u dworu służy, a w domu kij mu rośnie — Przez kij kogo przesadzić — Kto chce psa uderzyć, kij znajdzie. — Ostatni rodzaj kija, jestto kij sprowadzony do maleńkich rozmiarów olbrzymiej inteligencji. Tym kijem cywilizacyjnym, tą czarodziejską laską co dobywa zdroje ze skały mieni p. Real... pióro.

— Na kongresie botanicznym we Florencji prof. Edward Strassburger zdawał sprawę se swoich badań nad pyłkiem roślin szyszkowych. Badania te doprowadziły go do rozdzielania tej rodziny na trzy podrzędne grupy, których typami są rośliny: Seguonia, Thuja i Pinus.

— W Revue scientifique uczony Giard poddał pod krytykę teorię Kowalskiego (z Kijowa) orzekującą że ascydja rozwija się według typu zwierząt kręgowych, oraz wprost przeciwnie tej teorii twierdzenia Baera i Agassiza. Giard staje w obronie pierwszej teorii, która już pozyskała dla siebie oprócz wielu innych Kupffera, Maksa Szultzego i Haeckla.

— W królewskiej lejnii w Monachjum, rozpoczęto odlew posagu, którym miasto Wenecja postanowiło uczcić pamięć wielkiego swego współobywatela Daniela Manina. Model jest dziełem artysty niepospolitego talentu, Ludwika Porro. Posąg będzie miał 3½ metra wysokości i będzie ważył 150 centnarów. Odlew ma być ukończony do 1. marca r. 1875.

— Wobec ogólnego ruchu umysłowego w Europie także i Turcja na polu literackim krzątać się poczyną, usiłując tłumaczeniami jeźli już nie oryginalnymi utworami ubogą swoją literaturę podnieść z zapomnienia. — Wezyr wieki, Midhat Pascha pracuje nad tłumaczeniem Herodota: „Muz“ na język turecki.

— „Nowelle z życia żydowskiego“ Leopolda Komperta, umieszczane dotychczas w warszawskim „Izraelicie“ ukazały się w przekładzie francuskim. Krytyka francuska oddaje im wielkie pochwały.

— Theodor von Lengenfeldt wydaje w Berlinie u Wedekind i Schwieger dzieło: „Russland im XIX Jahrhundert“ — Autor, były rosyjski urzędnik, przebywał przez więcej jak 20 lat w rozmaitych prowincjach państwa rosyjskiego i skreślał w dziele tem zapatrywania własne na stan kraju dotyczące handlu tak krajowego jako też i zagranicznego, kolei, żeglugi parowej, rolnictwa, przemysłu, towarzystw kredytowych, szkół, wojskowości i marynarki krajowej.

Podróże i Wynalazki.

— „Kölnische Zeitung“, największe pismo niemieckie, które równego sobie nie ma na kontynencie, będzie teraz miało swój własny telegraf aż do Berlina. Koszta założenia wynoszą 41.000 talarów. Redakcja tyle przez to zyska, że odtąd będzie miała codzienną rozprawę parlamentu w dosłownem prawie brzmieniu, co dotąd dla zbyt wielkich kosztów rzadko się zdarzało. Jakie dochody muszą być pisma, które na same depesze tyle wydaje! Wiadomość powyższa nie jest humbgiem ale najprawdziwszą w świecie.

— Cenzura kosztuje w państwie moskiewskiem 258.920 rubli. Z tej kwoty przypada rocznie na cenzurę warszawską 31.600 rubli.

— Dnia 22go bm. odbędzie się w Krakowie walne zgromadzenie Towarzystwa Tatrzńskiego, na którem prócz sprawdzenia dotychczasowych czynności nastąpi wybór nowego wydziału na podstawie zmienionego statutu.

— W dwóch kierunkach udają się ciągle nowi podróżni. Jedni do bieguna północnego, drudzy w głąb Afryki. Austria, która już liczy Payerów i Wayprechtów, chce także odwiedzić strefę podzwrotnikową, bo oto d. 14. października rb. wysłała p. Ernesta Marno do Afryki, aby starał się dotrzeć dalej, niż to się udało sławnemu Livingstone. Koszta podróży p. Marno opęda w jednej części sam cesarz, w drugiej arcyksiążę Rudolf, a w trzeciej wiedenska Akademia umiejętności i ministerjum oświecenia.

— Roboty w Pompei nie ustają. Przed wiośnią będzie odsłonięty cały mur opasujący miasto. Okolenie składa się z muru zewnętrznego i wewnętrznego, między którymi znajduje się ziemia. Pierwszy jest bardzo dobrze utrzymany, drugi miejscami zawalony. Siedmioma bramami wchodziło się do miasta, z których każda była blachą obita. Ich konstrukcja przypomina budowę Saracenów w wiekach średnich.

Wojskowość.

— Na mocy carskiego ukazu, powołano w Moskiewie na r. 1875, 150.000 ludzi do służby w armji regularnej i na flocie.

— Rząd turecki postanowił zrobić z Warny twierdzę pierwszorzędną, z 12 zaprzód wysuniętymi fortami. Koszta obliczono na 4 miliony guldenów. Roboty potrwać lat kilka. Na ten sam wzór ma być zbudowanych jeszcze 8—12 innych twierdz.

ROZMAITOŚCI.

— „Tour du Monde,“ pod nagłówkiem „Gwinea“ podaje następującą ciekawą opowieść o pewnym nababie tamtejszym, o istniejącym tam jeszcze handlu niewolnikami i świetnym majestacie dziesiętym króla Dahomeju Gobo. Desoza, (tak się nazywa ów nabab) dorobił się ogromnego majątku na handlu czarnymi z wybrzeży królestwa Dahomeju. Liczą, że posiada kilkanaście milionów funtów szterlingów, co na franki daje kilkaset milionów fr. Szlachetny zawód handlarza niewolnikami wziął w spadku po swoim ojcu. Można ten pan jest szczupłej urody, fizjonomji dosyć pospolitej, nie brakuje mu jednak pewnego wykształcenia. Rezyduje w rodzaju zamku, znajdującym się w głębi kraju, o sześćdziesiąt mil od wybrzeża morskiego. Zdarzyła nam się sposobność odwiedzenia tej rezydencji. Jest to budowa wzniesiona przez portugalczyków dwa wieki temu, w czasie gdy prowadzili w tych okolicach handel ludźmi na wielką skalę i rozciągali protektorat swój nad całą tą częścią Afryki. Następnie po zniesieniu niewolnictwa i opuszczeniu wybrzeża przez Portugalczyków, zamek ten przeszedł pod władzę Holendrów, a od nich dostał się w ręce rodziny Desoza, która feudalną prawie władzę w tych stronach posiada. Zamek ten zbudowany jest z kamienia, w stylu nieregularnym, posiada fosy, wieże i strzelnice. Desoza żyje w swojej rezydencji jak jaki średniowieczny książę, i podejmuje przyjaciół swoich, rozbójników morskich i innych dostarczycieli czarnego towaru z królewską okazałością, a na każdy rozkaz jego staje pod bronią mała armia, dobrze uekwipowana i wyćwiczona. Goście zaproszeni do Casa Bianca (tak się nazywa zamek) przez potężnego pana i władzę, odbywają podróż w hamakach, zawieszonych na długich tykach, a niesionych klusem przez czterech silnych negrów, którzy zmieniają się co cztery lub pięć kilometrów. Konie nie chowają się w tej części Afryki, zresztą do długich podróży negry mają być daleko lepsi i taniej kosztują. Od wybrzeża do zamku pana Desoza około 40 godzin drogi. Przez cały ten czas gość nababa doznaje tysiąca uprzedających grzeczności: na niczem mu nie zbywa, nie tylko na rzeczach koniecznych, ale nawet na zbytku. Obok zamku znajdują się pomieszkania niewolników, bardzo obszerne, w części na ziemi, w części pod ziemią zbudowane z kamienia i mocnego drzewa. Przedstawiają one ogromne koło, wszystkie drzwi, okna i dymniki wychodzą na wewnątrz, a całe to koło, opasane drugiem jeszcze większem: palisadą z bambusów głęboko wkopanych w ziemię i silnie połączonych ze sobą. W tym „corralu“ wmieścić się może tysiąc stworzeń z duszą nieśmiertelną a nieraz i więcej się mieściło!... Gdyśmy odwiedzali te klatki niegodziwego Portugalczyka, były one na szczęście puste. Może być że Desoza kazał je opróżnić przed przybyciem naszym, ażebyśmy nie byli świadkami cierpień tego stada ludzkiego. Straż złożona z dwudziestu ludzi patrolowała na zewnątrz bambusowej palisady. W tej straży było dziesięciu czarnych, ośmiu Arabów i dwóch Hiszpanów. Po odwiedzeniu tego wielkiego dostarczyciela „czarnego towaru“ wybraliśmy się obejrzeć „wielkie targowisko“ Znajduje się ono w Ouaidy i należy do pierwszorzędných punktów handlu ludźmi. Leży w samym środku miasta, na oczach wszystkich potęg morskich — cywilizowanych, które jednego kroku nie czynią dla położenia tamy temu haniebnemu przemysłowi. Targowica ta zbudowana jest z bambusów, osadzonych głęboko w ziemi, mniej więcej o trzy metry jeden od drugiego — pomiędzy każdym takim słupem a drugim przestrzeń otwarta; gdzieś tam tylko rozpięto mat kilka dla jakiejś takiej ochrony od straszliwych promieni słońca; dach z liści palmowych. Całość robi wrażenie szop zestawionych ze sobą i zajmujących trzy boki kwadratu. Słupy ozdobione grubą rzeźbą, przedstawiającą węże, jaszczurki, ostrza lanc, tarcze itd. Targ odbywa się tylko w pierwszych godzinach dnia. Wówczas mieszkańcy miasta spływają na to miejsce tłumnie dla zasięgnięcia wiadomości z głębi kraju od wieśniaków przybyłych z rozlicznymi interesami. W środku targowicy wznosi się namiot, mający pretensję do godności pawilonu: jest to sala narad do-

homejskiego króla, Gobo. Tego dnia powiewały nad tą salą małe chorągiewki: poszarpane szmaty czerwonego i niebieskiego płótna. Szmaty te, były to wstawione bandery królewskie, które amazonki króla Gobo zwykły w czasie podróży nosić przed nim. Wspomniałem o amazonkach. Dwanaście tych „wojowniczek“ w chwili naszego przybycia odbywało straż przed pawilonem królewskim; inne machały lancami i ciężkimi mieczami o krótkim ostrzu, które każdy wzięby za noże do krajania sera. Każda z nich niosła przed sobą długą tarczę, ze skóry wołowej, ozdobioną osobliwymi rysunkami i zaszmarowaną grubą warstwą gliny zmieszanej z oliwą palmową. Rysunki te i bohomyzy musiały być oznakami rozmaitych godności i stopni. Wszystko to jednak były niewolnice z rozmaitych pokoleń zebrane. Na nas patrzyły ukosem, z niechęcią. Nigdy nie widział brutalniejszych figur, nawet w tym kraju. Ubranie ich składało się z kawałka materji roboty miejscowej, zawiązanego w pasie i spadającego do połowy nóg; jedynym pokryciem głowy byłą gesta welna, którą je natura obdarzyła. W przebitym nosie ich wisiał pierścień metalowy mniej więcej dwa cale szeroki, wyższą wargę przetkniętą miały kawałkami kości, który niewątpliwie najbardziej przyczyniał się do powiększenia szpetności tych wojowniczych kobiet. Targ był literalnie zapchany ludem różnych pokoleń, oczekującym na przybycie króla. Opowiadano sobie, słuchano nowin, sprzedawano, kupowano, w koło huczał wrzask i rozlegało się wycie ochrypłych głosów. Na szczęście nasze pozostawaliśmy pod wysoką protekcją Desoza, nikt więc z nami kłótni nie szukał. Kilka renegatów białoskórych, eks-szlacheiców, pochodzących z najucywilizowanych krain świata, ale zapewne zmuszonych przed karą za zbrodnie uciekać aż do Dahomeju, — w płóciennych strojach, z parasolem w ręku, paląc z ostentacją wyborne cygaro rozpościerało się pysznie pomiędzy czarnym gminem. Panowie ci widocznie chcieli nam dać wysokie wyobrażenie o swoim znaczeniu; ale twarze ich nosiły na sobie zbyt widoczne cechy dusz nikczemnych, każdy rys ich zdradzał handlarza ludźmi i rozbójnika. „Klatki“ niewolników, znajdując się na tyle targowicy. Zaszliśmy do nich i znaleźliśmy trzysta nieszczęśliwych istot, obojej płci, najzupełniej obnażonych, leżących pokotem na ziemi w różnych pozycjach, bez ruchu prawie. Na sam ten widok, jak to mówią, kamień byłby zapłakał; mieli minę wygłodniałych i z tego okropnego ich roju wznosił się rodzaj melopeji powolnej i żałosliwej, „śpiew śmierci“ jak nam powiedziano. Schwytano ich koło Effik na rzece Calibar. Desoza twierdził że to ludożercy i do tego jeszcze z najniebezpieczniejszego pokolenia, które pakuje bez miłosierdzia w sos „każdego Dahomejczyka,“ jeżeli go dostanie w ręce. Co do mnie, wyznam, że nie znajdowałem najmniejszej różnicy pomiędzy niemi a orangutangami i gorylami, które widziałem w lasach tego kraju. Wreszcie dobremu ludowi zapowiedziany przybytek króla dźwięki mało harmonijne, które naczelnik straży z konchy służącej mu za trąbę wydobył i strzały ze skałkowej broni. Spodziewaliśmy się ujrzeć Najjaśniejszego Pana, wchodzącego do swego wiernego miasta Ouaidy, z całą pompą i świetnością potęgi swojej — ale to szczęście nas ominęło. Gobo, zaraz po przybyciu, odpędził od siebie swoją straż honorową i wśliznął się nieznacznie do handelku jakiegoś kupca, ażeby „robaka zalać.“ Skoro wyszedłszy z tamąd pojawił się około swego pawilonu na targowicy, naczelnik trębaczy zadął po raz drugi w swój instrument — a na ten odgłos wszyscy obecni padli na brzuch, z wyjątkiem białych. Nikt nie śmiał się podnieść, dopóki welnisty władca nie oddalił się na kilkadziesiąt kroków. Mieliśmy wszelką swobodę przypatrzyć się temu potężnemu Gobo. Jest to człowiek dosyć chudy, pięć stóp, sześć cali wzrostu, pierś i ramiona okryte medalami, łańcuchami, bransoletami, złotem krzyżami i drogiemi kamieniami, którą bądź wziął po przodkach, bądź otrzymał w podarku. Hebanowa cera rąk, wysmarowana oliwą, przeblyskiwała z pod tych ozdób. Całe ubranie jego stanowiła suknia z żółtego jedwabiu, bogato haftowana złotem. Włosy związywał i przytrzymywał galon złoty, ozdobiony pięknymi rubinami i szmaragdami, a nad nim powiewały trzy przepyszne białe pióra strusie,

klójące się w szczególny sposób z hebanową czarnością całej jego postaci. Z oczu, ust i charakteru całej twarzy ma Gobo więcej podobieństwa do typu egipskiego, aniżeli do smutnego typu podrównikowego Nigra. Dla uzupełnienia obrazu powierzchowności tego władcy [dodam, że obuty był tego dnia w sandały skórzane, wyszywane złotem, ozdobione jak suknia sprzączkami. Osobistość ta jest bardzo pyszna, obdarzona chronicznem ściągnięciem brwi i zmarszczeniem twarzy. Nie widziano go nigdy śmiejącym się lub uśmiechającym, jak nam zaręczał Desoza. Znak to natury gwałtownej i zwierzęcej. Ledwo raczył zauważyć naszą obecność, nawet gdyśmy mu zostali przedstawieni wedle wszelkich form. Odmówił wyciągnięcia ręki do nas i uściśnięcia dłoni naszych i mruknawszy „Ounga“ — co znaczy „dosyć, odejdźcie,“ z najpogardliwszym ruchem w świecie od nas się oddalił. Uznaliśmy za pożyteczne skorzystać z tej rozkazującej rady i stanęliśmy w pełnej respektu odległości. Skoro tumult spowodowany jego przybyciem nieco się uciszył, Gobo w języku dahomejskim powiedział do ludu mniej więcej tej treści mowę: „Najjaśniejszy król dwudziestu czterech obfitych i płodnych pór roku przybywa we własnej osobie, dla powiedzenia swemu ludowi: wszystko dobrze! Gotów jest odebrać dowody wierności swoich poddanych i przybywa po podatek należny jego królewskiemu domowi.“ Innemi słowy Gobo przybył złupić swoich wiernych poddanych. Po tej mowie siadł w kuczki na skórze tygrysiej i czekał. Wkrótce naczelnicy znieśli podatek. Gobo odebrawszy go, oddalił się. Zdawało nam się, że nie całkiem kontent z ogółu podatku i ma w wielkiem podejrzeniu swoich poborców, że go okradli.“

— Otóż i ostre tchnienie zimy powiało! Biała wam lilje i róże na jedwabnych, aksamitnych liczkach! Czai się na was chłodny wicher dmący na przestrzal ulicami; mróz ostrzy zęby na białe, delikatne paluszki! Niema ratunku! Ani przejrzysta gaza woalki, ani miękkie objęcie zarękawka zupełnie twarzycek i paluszków nie ochroni! Pojawia się spierzchnięcia na delikatnej cerze, jaskrawy koloryt na klasycznie zarysowanych noskach — widok na który zwierciadło lżami się zalewa, a mężom i kochankom serce się ścisza! Rozpacziwa sytuacja! Ale jest Bóg na niebie a dobroczynny przemysł na ziemi. Z woli pierwszego a za pośrednictwem drugiego, spieszy w pomoc zagrożonym wzdziękowi i skarbowi ciał uroczych Gerin 23. ulica Bautreillis w Paryżu z cudownym „Creme Simon“, pod którego czaro-dziejskiem dotknięciem nikną skażenia cery, wyciągają się zdradzieckie zmarszczki, wszelka złośliwość czasu i wpływów powietrza traci szkodliwe skutki. Owiecie wonnym obłokiem „Poudre Figaro“ rysy wasze, zaprzyjaźnione poprzednio z „Creme Simon“ a młodość zabłyseczy nad ich śnieżystą bielą, jak słońce nad zimową sukienką ziemi. Nieprawdaż, kusząca rada! Pierwsza to na kartkach naszych, ale nie ostatnia dla was przysługa w tym rodzaju, o piękne przyjaciółki „Tygodnia.“ Od tej chwili chcecie rzucić niekiedy, ciekawem okiem na tę rubrykę naszego pisma a znajdziecie w niej, jak będzie można najczęściej, najnowsze i z dobrych źródeł zaczerpnięte nowiny z królestwa mody i piękności.

Odpowiedzi Redakcji.

J. P. w Dukli. Z listu nie możemy wywnioskować jaka może być wartość znalezionej manuskryptu; prosimy go więc przysłać, a po przeczytaniu odpowiadamy.

Wł. S. w Krakowie. Dzisiejszą pocztą posyłamy; prosimy jednak o szybka decyzję. Im prędzej, tem lepiej dla nas. Czy mogłoby być do trzech miesięcy?

Zwracamy uwagę wszystkich naszych czytelników na pierwszą stronę dzisiejszej okładki. Dzieła Józefa Dzierżkowskiego będą dla prenumeratorów naszego pisma wychodziły na tak przystępnych warunkach, jak to dotąd nigdy się jeszcze nie zdarzyło. Spodziewamy się że wszyscy korzystając ze sposobności zaopatrzą się w twory pisarza tak nłubionego.

Wszystkich pp. Autorów i nakładców, którzy żyją sobie, by o dziełach przez nich wydawanych, były umieszczane recenzje w naszym piśmie, upraszamy o przysyłanie nowości wprost do Redakcji.

— Manuskryptów redakcja nie zwraca, z wyjątkiem tych, których zwrot autor sobie zastrzeże.

Tr e ś ć N r . 9 .

O ogładzie literackiej przez Jana Lama; Serce i ręka, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.); Obrazy z Anglii, przez Sewera (c. d.); Studja o sztuce w Polsce przez Józefa Rogosza (c. d.); Żona poległego, nowella Jokai'a (c. d.); Pamiętniki z r. 1831, Ignacego hr. Komorowskiego (c. d.); Śpiew siewacza, wiersz B. Czerwieńskiego; Pogadanka Jana Lama; Podróż do bieguna północnego przez L. Tatomira (c. d.); Moi synowie, Wiktora Hugo przez Wł. Ordonę; Francja dzisiejsza przez L. Picarda; Piśmiennictwo polskie przez Teofila Szumskiego; Ze świata muzycznego, przez W. Wysockiego; Ze świata naukowego przez L. Wierzejskiego; Bibliografja. — Wiadomości ze świata. — Rozmaitości. — Od Redakcji.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.